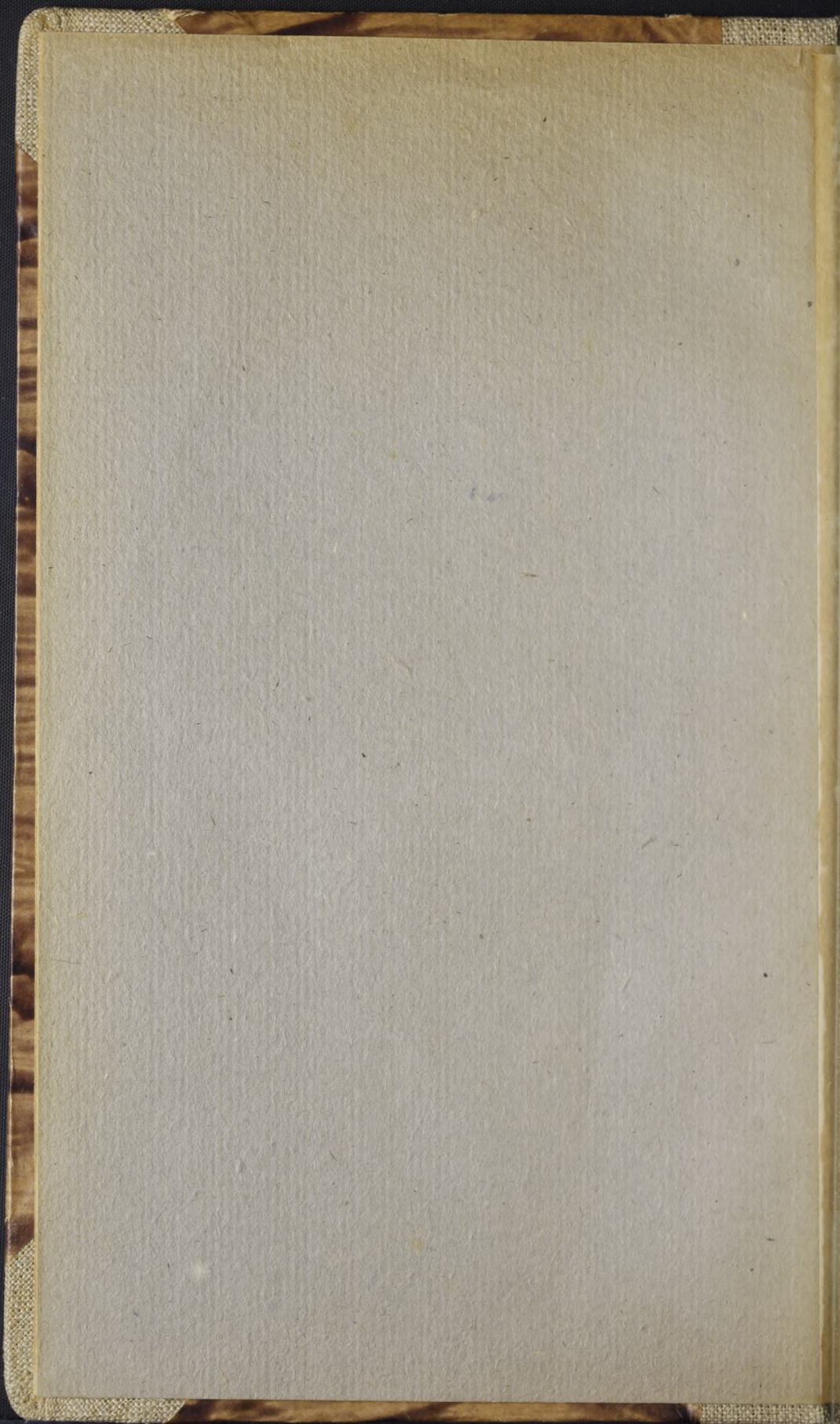


JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA.

---

---

**BIESIADA  
KAMELEONÓW**



BIESIADA KAMELEONÓW

U. 1

JÓZEFA AL. GAŁUSZKI:  
„PROMIENI I GROM“ J. CZERNECKI, KRAKÓW.  
(KONKURSOWA NAGRODA MIN. KULTURY I SZTUKI).



JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA.

---

# BIESIADA KAMELEONÓW

BN 9019

SKŁAD GŁÓWNY GEBETHNER i WOLFF  
WARSZAWA — LUBLIN — POZNAŃ — ŁÓDŹ  
G. GEBETHNER i SPÓŁKA — KRAKÓW.



11513.049

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



3000100777316

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, UL. MIKOŁAJSKA 13,  
pod zarządem J. Dziubanowskiego.

1950 D 153/201.

---



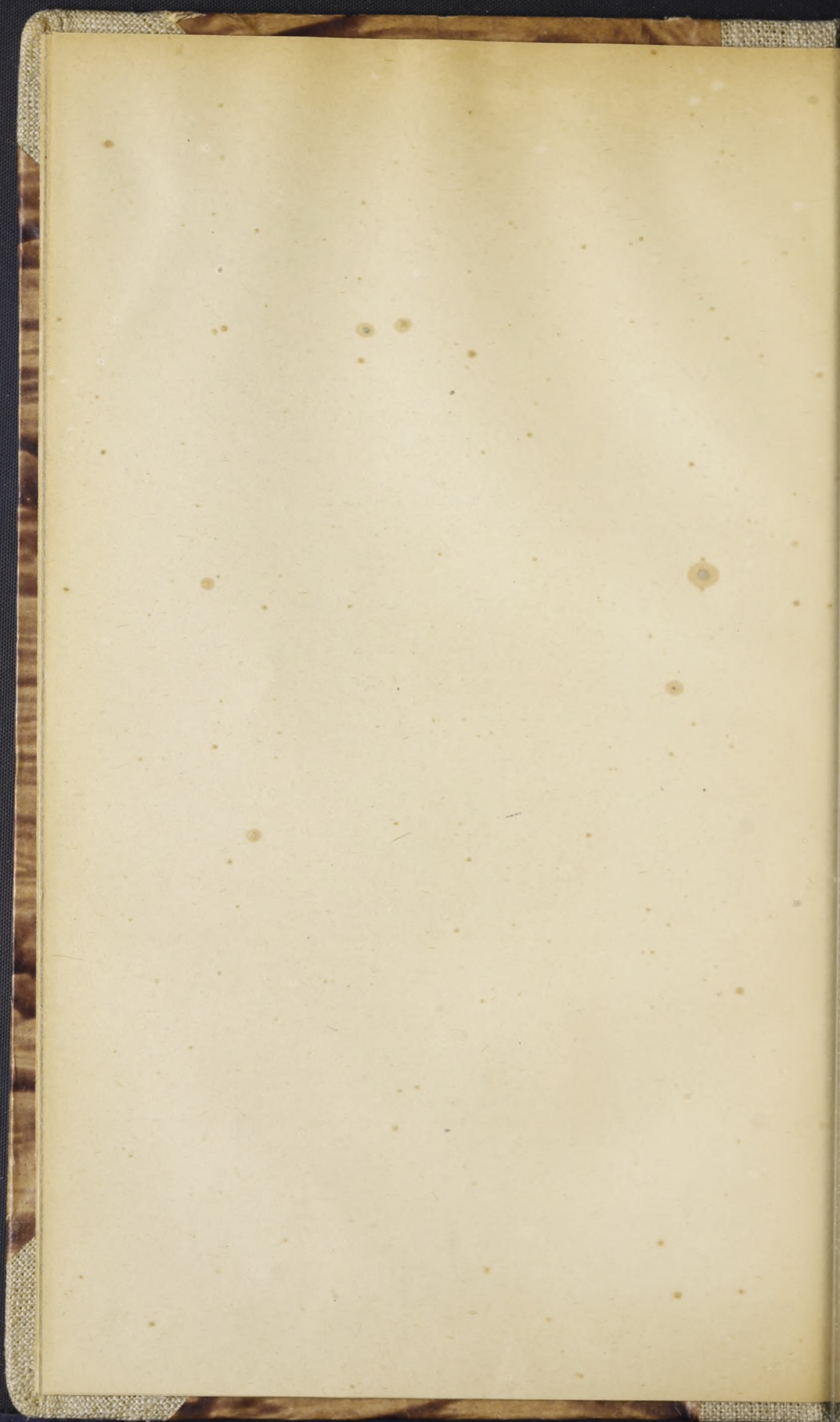
---

## WIERZE...

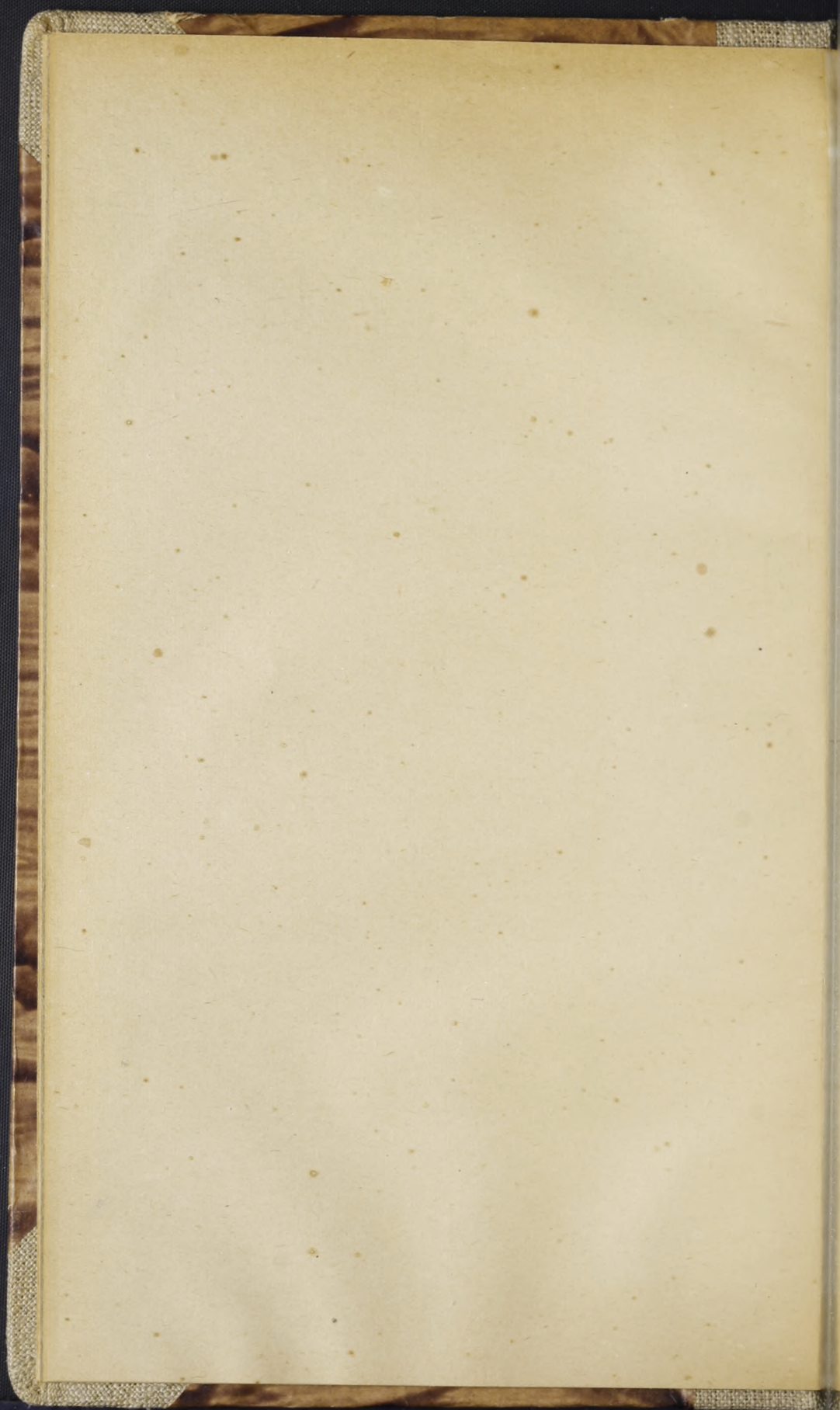
Wierzę, że mi wraz z życiem w pierś moją zakłęto  
 wiekuiłą tęsknotę do światła i słońca,  
 a z tą wieków tęsknotą siłę niepojętą,  
 której ni granic niema — początku ni końca,  
 bo z potęgą tworzenia zawarła przymierze — —  
 Idę i wierzę — —

Wierzę, że w mojej duszy zamknąć zdolny jestem  
 światy, które wyłonił duch z nicości mroków —  
 bić w tarcze słońc, jak w dzwony spiżowe protestem —  
 ciąc więzy niewolnicze — rwać żelaza oków —  
 walczyć o nieśmiertelność, jak światła rycerze — —  
 Idę i wierzę — —

Wierzę mocno we wszystko, w co uwierzyć trudno:  
 że życie jeno gwiazdy brać winno na skronie —  
 że w duszę mi zakłęto wieków bajkę cudną,  
 bajkę nieśmiertelności — i ta w piersi płonie —  
 że mi nigdy nie przyjdzie iść w mogilne leże  
 Idę i wierzę — —



I.



## ŻOŁNIERZOWI POLSKIEMU

Gdzieś ty już chłopie polski szedł w śmiertelne boje? —  
 za czyją i za jaką ginąłeś już sprawę? —  
 do jakich ziem tuliłeś swoje piersi krwawe? —  
 przy ilu drogach ścierwem legło ciało twoje? —

Zaścielili gnatami twojemi pół ziemi —  
 ciało twe żreją kruki na krawędziach świata,  
 a ty walisz z rozmachem bagniet w piersi brata  
 i giniesz, powalony rękoma bratniemi — —

Walcie się na siebie zabójce, a braty  
 i kiedy groza śmierci w źrenice się wbija  
 jedną mową wołacie wraz: Jezus - Maryja!  
 poznając, żeście oba syny polskiej chaty — —

Gdzieś ty już chłopie polski szedł w śmiertelne boje? —  
 za czyją i za jaką ginąłeś już sprawę? —  
 do jakich ziem tuliłeś swoje piersi krwawe? —  
 przy ilu drogach ścierwem legło ciało twoje? — —

## WRONY

Kolegom 1-szej szkoły oficer-  
skiej we Freibergu r. 1914.

Wiesz, to dziwne, że się wrony  
gromadzą zawsze koło starych baszt,  
baszt o spadzistym dachu — —  
Baszta wtedy widnieje, jak okrętu maszt,  
a chmury wron, jakgdyby wichurze rzucony  
czarny proporzec, cień grozy i strachu,  
chwiejący się nad martwym okrętem — —

Ot, takie dawne wspomnienie przychodzi — —

Przypominasz sobie te pola śniegowe  
poza miastem nieznanem, dalekiem,  
gdzieśmy w szeregu wszyscy tacy młodzi —  
ćwiczyli: ramię w ramię — pierś wprzód — w górę głowę —  
gdzie nas uczono przestać być człowiekiem — —

Zabijano powoli w nas ducha:  
mundury wrogiej armji na grzbiety nadziano,  
wcielono w szereg — —

Szliśmy — śnieżycą czy plucha —  
szliśmy na to pole za miastem co rano,  
co popołudnie o jednej godzinie — —  
miejską mijaliśmy bramę — —  
Jedne, tesame ćwiczenia,  
rozkazy jedne te same,  
aż do znudzenia — —  
Setki razy tam i zpowrotem  
przemierzaliśmy pola ogromne — —  
zrywaliśmy się i kładli pokotem  
na rozkaz oficera (nazwiska nie pomnę;  
miał czerwone wyłogi, wąs i włosy ryżę,  
na piersiach dwa medale i coś ze trzy krzyże)



Chodziliśmy, jak konie w kieracie  
 przez śniegowe połacie,  
 wydreptując zygzaki bez końca -- --

A wdali, na wzgórzu stała sobie wieża  
 przy ruinach zamczyska rabusia-rycerza;  
 dach spadzisty, wysoki  
 piął się dumnie w obłoki,  
 a nad wieżą wron niosła się chmura,  
 jak nieszczęścia chorągiew ponura -- --  
 Nam te wrony krakały na śmierć -- --  
 Mieliśmy przecie wszyscy, jako oficerzy  
 wrogiej armji iść w boje -- w tę wojnę,  
 co się rozpaliała szerzej i szerzej  
 nad światem -- --

Poszliśmy i żniwa zebrała z nas hojne -- --

Ot, takie dawne wspomnienie przychodzi,  
 bom dziś zobaczył, jak nad jedną z wież  
 mojego miasta wron chwiała się chmary -- --

Widzę: idziem w szeregu -- kwiat wybranej młodzi --  
 rozwiniętą kolumną mierzym pola wszcz,  
 a przed nami na niebie baszty obrys szary -- --  
 Widzę was wszystkich, widzę, -- was, coście zginęli --  
 was, których tylko zbudzi głos anielskich surm --  
 Idziemy naprzód w wicherze i śniegowej bieli,  
 a za nami komenda:

*Directio-o-n: Stramberger Turm!*

## W GÓRACH

(FRONT).

Jakieś pieśni po górach się niosą —  
jakieś echa we mgłach się trzepocą —  
a przez hale przyprószone rosą  
idzie smutek księżycową nocą — —

Jakieś dźwięki padają gdzieś w ciszę,  
drząc jak skargi między mgły srebrnemi — —  
stoję we mgłach i od szczytów słyszę  
jakieś echa — jak pieśni mej ziemi — —

## NA POZYCJĘ

Szli wolno w pożodze słońca —  
szli jeden za drugim  
wąską ścieżką alpejską — szli wolno do góry:  
wiły się po zboczu w dół zygzakiem długim  
szare, polowe mundury  
bez końca — —

Cały bataljon bojowy  
na pozycję szedł ku szczytom —  
zbliżał się ku mnie — — Tam w dole stał  
jeszcze ich pociąg: dym płowy  
wznosił się z parowozu rozwichrzoną kitą,  
pełził po upłazach skał  
ku niebiosom, które szalały  
płomieni żarem — —

Z pod nóg idących wzniosł się tuman biały  
nad całym zboczem góry —  
Powietrzem od pyłu szarem  
darły się słońca promienie,  
barwiąc je w poblask rudy, widomy  
przed burzą na okrajach chmury,  
niosącej grady i gromy — —

W tym tumanie i słonecznym żarze,  
szedł w górę bataljon bojowy,  
pełził wolno: widziałem krwią nabiegłe twarze  
i pod hełmem żelaznym pochylone głowy —  
straszonym znużeniem oczy obłąkane —  
barki ciężarem przybite do ziemi — —

Darli się, dysząc ciężko, na alpejską ścianę  
w głuchem milczeniu — Oczyma krwawemi  
patrzyli krok przed siebie — —  
milczeli, jakby idąc na jakimś pogrzebie — —



Mijali mnie powoli — —  
 Oj, napatrzyłem ja się człowieczej niedoli:  
 widziałem, jak przez kurzem przyprószone lice  
 ściekał pot brudnymi smugami —  
 patrzyłem im w źrenice —  
 rozumiałem — — wszak byliśmy sami:  
 oni i ja, nędzarze,  
 a cesarz, cesarz daleko — —  
 Patrzyłem w ich umęczone twarze —  
 i łzy mnie piekły pod powieką — —

Nieśli w sobie jakieś wielkie bóle,  
 co im mocno wskroś serca paliły,  
 bo rozwarli szeroko na piersi koszule — —  
 widziałem na ich szyi tak nabrzmiałe żyły,  
 iż się zdało, że wnet krew z nich strzeli —  
 Słyszałem ich dech krótki, dech suchych gardzieli,  
 z których ślinę wyssała spiekota — —

Padł rozkaz wypoczynku: każdy nawznak  
 runął, jak żebrak znużony u płota,  
 albo jak ptak  
 strzelony, z rozpostartemi skrzydły —  
 Dyszeli, długo dyszeli — — Hełm obrzydły  
 na bok składali, karabin, plecaki — —

Uspakajało się powoli serce — —  
 każdy z nich wreszcie ruch jednaki  
 wykonał: sięgał do boku ku manierce —  
 Leżąc na wznak każdy przytyka  
 manierkę do ust — pije długo —  
 przechyła głowę — pije do dna,  
 aż mu rozgłośnie gra grdyka,  
 ruszając się miarowo — —

Palą już papierosy: z dymu smugą  
 niebieską, co płynie pogodna  
 wkoło ich twarzy, nad głową  
 płyną ich myśli daleko, daleko w świat  
 do żon, do dzieci, do chat — —

Rzucają słów parę: przekleństw w różnej mowie —  
 Oddechają głęboko — twarz chustą  
 obcierają — znów na wznak się kładą,  
 dzwoniąc o kamień skał manierką pustą —  
 Jedni siedzą w połowie  
 o plecaki wsparci,  
 z twarzą z znużenia śmiertelnie już bladą,  
 bo im do serca ściekły znowu krwi ostatki — —

Gdyby się tu zjawiły ich żony, ich matki  
 i stanąwszy przed nimi wołały imiona,  
 choćby ku nim kochanki prężyły ramiona,  
 nie powstałby z nich żaden — o nie!  
 i Bóg by ich nie zwabił — nie spędzili czarci  
 z ich miejsc, tam, gdzie skronie  
 poprzytulali do tych skał na chwilę,  
 gdzie ich przykuło śmiertelne znużenie — —

*Vorwärts! Ma-a-rsch!* padł rozkaz — echem  
 przebiegł długiemi  
 po zboczu: dźwigali się z pośpiechem  
 i po chwili znów jeden za drugim  
 szli w górę w spiekocie i pyle,  
 a rozszalałe słońcem promienie  
 żywym ogniem ich twarze paliły,  
 wpijając się do oczu, do skroni, do warg — —

Szli wolno, a z pod butów okutych w dół sypał się piarg,  
 jak te zmarznięte grudy do świeżej mogiły — —  
 I znów szare, polowe mundury  
 wiły się po zboczu góry  
 bez końca — —  
 Bataljon bojowy  
 na pozycję szedł ku szczytom — —

## W DRODZE NA LEŻE

Przyniesiono pod wieczór z izby telefonu  
rozkaz, aby natychmiast zgotować noclegi  
dla ciągnącej na leże resztki bataljonu  
Bośniaków, tak zwanej „Nieśmiertelnej legji“,  
idącej z pod Monte Grappy — —

Znaleźliśmy je z trudem w miasteczku rozbitem — —  
Ustroiliśmy w jadalni pułapy —  
do magazynu ludzi wysłaliśmy z kwitem  
po papierosy, wino i cygara — —

Czekaliśmy Bośniaków — nadeszli: muzyka  
na przedzie, a za nią szła wiara,  
wiedziona przez podpułkownika — —  
resztką bataljonu — kilkadziesiąt człeka —  
innych, pokryła mogiła daleka  
tam, wśród niebotycznych turni — —  
Ci szli przed nami  
z medalami na piersiach, z krzyżami  
dumni i chmurni — —

Rozeszli się po leżach — — Oficerów w gości  
zabraliśmy do siebie na małe przyjęcie,  
w jadalnię ustrojoną, jak przy wielkiem święcie — —  
Byli to ludzie serdeczni i prości  
i jak na bohaterów uprzejmi i mili — —  
Przy kolacji po chwili  
byliśmy tak ze sobą zbratani,  
jakbyśmy razem w niejednej kampanji  
walczyli obok siebie — —

Z kolei patrzyłem

na każdego: twarze zarosłe, szerniałe —  
mundury sprószone pyłem,  
jeno ich bohaterską chwałę  
znaczyły krzyże i medale  
na piersi. — Mówili głośno w zapale  
o ostatniej swej walce:  
rozstawiali na stole wskazujące palce,  
tłómaczyli długo, szczegółowo —

jeden drugiemu wpadał w słowo,  
 prowadził opowieść dalej —  
 inni głowami przytakiwali — —

Jeden z nas powstał, by wznieść  
 toast na chwałę i cześć  
 bataljonu — — Krzyknęliśmy wiwaty  
 gromko, wesoło — —  
 Dziękował za nie komendant brodaty:  
 mówił długo, gładził dłonią czoło,  
 aż wreszcie ostatnim zwrotem  
 pożegnał towarzyszy  
 tych, których groby stały pod niebios namiotem  
 w śnieżnych Alp ciszy — —  
 Widziałem, jak tym bohaterom  
 nagle w źrenicach łzy załśniły —  
 Płakali — wszyscy płakali łzą szczerą,  
 żegnając tamtych mogiły — —

Zagrzmiała muzyka w sieni — —  
 Przy dźwiękach kapeli  
 na dobre pić my zaczęli  
 rozgadani, rozbawieni — —  
 Od dymu duszno było w sali,  
 więcęśmy okna poroztwierali  
 i pili dalej — —

Gdzieś po północy mocno kurzyło się z łbów — —  
 Gadali, powtarzali znów  
 swe dzieje  
 podpici, weseli,  
 aż wreszcie do sieni rozwarli wierzeje  
 i przy dźwiękach kapeli  
 zaczęli tańczyć: najpierw dwóch  
 do bośniackiego wypadło —  
 w izbie wszczął się ruch,  
 zsunięto stoły — —  
 Tańczyli — jeden z twarzą pobladłą  
 i chudą — drugi niski, czerwony —  
 hulali: chwyтали się w poły,  
 rozbiegali na strony,

a hołubiec był srogi,  
bo aż drzazgi z podłogi  
leciały — —

Muzyka się rozegrała,

aż huczała sień,  
żeby nawet pień  
choć głucho poszedł w tan,  
toteż wnet już izba cała  
tańczyła zawzięcie:  
dobiegali ścian,  
skręcali na pięcie  
i hulali wesoło, zuchwale — —  
Aż komendant na salę  
wpadł do tańca — z kucharką —  
(była jedną niewiastą,  
że to często na miasto  
zlatywały granaty)  
była zgrabna dziewczucha  
i hulala od ucha — —  
On, by satyr brodaty  
skakał śmiesznie koło niej:  
biegli środkiem dłoń w dłoni,  
potem znowu hulali  
dookoła po sali,  
póki grała muzyka — —

Gromkie brawa bez lika  
nagrodziły ten taniec wesoły — —

Rozstawiliśmy stoły  
zpowrotem i znów dalej szło wino — —  
Czmychnąłem stamtąd już późną godziną,  
ale przez sen dobiegła mnie zrana  
jeszcze jakaś piosenka pijana —  
jeszczem widział pod senną powieką  
kołysane w taneczny wir barki  
bohatera i taniec kucharki —  
bo za oknem daleko  
jeszcze dobrze hulanie dudniało — —

Ponoć pili naumór noc całą — —



## WZLOT

Warknęły śmigły samolotów —  
 stoi ich pięć na polu równym i szerokiem,  
 każdy do wzlotu już gotów — —  
 Pięciu lotników idzie wolnym krokiem  
 gwarząc i paląc papierosy — —

Cudny ranek — na trawie  
 lśnią kropelki rosy,  
 słońce podniosło się prawie  
 nad Alp śnieżystych czoła —  
 zegar bije godzinę  
 gdzieś z wieży dalekiej kościoła — —

Motory huczą — — ostatnia to próba:  
 śmigły kreślą w powietrzu jeno kręgi sine;  
 samoloty drżą,  
 rozwinąwszy swe skrzydła, jak skrzydła cheruba  
 na wielkie — dalekie loty —  
 Przez cylindry motorów leci skra za skra — —

Pod samolot ten zkraja  
 wszedł mechanik — we wicherze  
 śmigł mu łopocą  
 poły niebieskiej kapoty —  
 Wparł się w ziemię i z mocą  
 trzyma

kadłub samolotu —  
 Motor wrze — stuk cylindrów się zdwaja —  
 wicher od śmigł jakby z płuc olbrzyma — —  
 naraz milknie — świsty coraz cichsze —  
 już widać drzewce śmigł —  
 jeszcze pół obrotu,  
 cylindrów ostatnie podrygi —  
 cisza — — —

Lotnicy stoją w gromadzie,  
 każdy w ubraniu skórzanem,  
 w skórzanej czapce na głowie —  
 ten rękawice już kładzie,  
 tamten głaszcze psa,  
 co przybiegł pożegnać się z panem —

Każdy wpada w rozmowę w urywanem słowie —  
 śmieje się każdy — lecz uśmiech krótko trwa,  
 gaśnie — we fałdy lic wrósł,  
 ale tak, jakby sfalowane wody  
 ściał nagły mróz — —  
 Ten suchy, wygolony, młody  
 dym z papierosa chłonie,  
 jakby to był ostatni papieros — —

## Znak

do wzlotu dał rotmistrz: wkoło dłonie  
 podają na pożegnanie — wszak  
 na śmierć lecą — na bój pod blask słońca złoty —

Wstępują w samoloty,  
 ujmują kierownice — —  
 Świst śmig — głowę w skórzanym kapturze  
 zwraca każdy w tę stronę:  
 uśmiechnięte lice,  
 usta w śmiechu skrzywione —  
 Jakiś okrzyk — Pierwszy samolot mknie wprzód:  
 skacze na kołach gumowych po łące —  
 jeden, drugi, trzeci rzut —  
 wpół łąki wznosi się — już w górze —  
 chwilę, jakby leciał przez stoki milczące  
 Alp — a potem płynie w lazurze  
 wielki, wspaniały — — Za nim drugi  
 trzeci — czwarty rusza —  
 piąty — — Przez błękity  
 dymu blade smugi  
 ciągną za nini, jak kity  
 pióropusza — —

Zataczają ogromne koliska  
 tuż przed nami — Trajkot — to próba: maszynowe  
 grzechoczą w górze karabiny — —

Lecą, niby orłowie nad skalne urwiska,  
 wznoszące w niebo głowę —  
 lecą w błękit siny  
 nad Alp śnieżystych czoła — —

Dzwony biją z dalekiej wieżycy kościoła — —

## BÓJ LOTNIKÓW

Leci nieprzyjacielski samolot bojowy  
 wysoko — wysoko błękitami,  
 wiankiem chmurek szrapneli otoczony — —  
 Płynie tuż nad nasze głowy —  
 teraz wprost nad nami —  
 Zniża lot — w różne strony  
 zawraca — — Baterje ze szczytów gór  
 biją: w czarne punkty na niebie  
 pękają pociski  
 tuż koło niego — — cztery, jak pod sznur —  
 ten ostatni tak bliski:  
 zda się, że metr, dwa — —

Zesuwa się w dół — kolebie  
 się na skrzydłach, jak ptak — —  
 Celnie biją — — Patrz! Patrz! — A  
 psiakrew — to gracz!  
 przeciął wprost linję strzału — —  
 Te cztery ostatnie punkty daleko —  
 Niedołęgi! —

Zawraca pomału

na dawne miejsce — zjeżdża w dół —  
 będzie z dwa i pół  
 tysiąca metrów — — Cztery baterje sieką  
 w niego — — Czarne punkty w białawe  
 przechodzą obłoki:  
 spłacheć błękitu szeroki  
 pokryty, jakby kościelną nawę  
 dymy wonnych kadzideł — —  
 Rozpływają się wolno,  
 czepiają się skrzydeł  
 samolotu — — on płynie linją okolną  
 nad jednym punktem, jak jastrząb w błękicie,  
 kiedy szuka ofiary — —

Słyszycie ?!

Nieprzyjacielskie grają działa :  
 raz — dwa — trzy — cztery — — Cała  
 baterja! -- Biją gdzieś blisko — —  
 Samolot kieruje ogniem dział:  
 wciąż zatacza ogromne kolisko  
 nad cyplem tamtych skał — —

Milkną armaty ostrzeliwujące lotnika — —  
 Patrz: nasz samolot go goni — —  
 tam — tam — — leci w słońce — znika — —  
 Patrzaj z popod dłoni!  
 Nie widzisz! ? — Masz szkła! — —  
 Aha — aha — aha — —

Już niedaleko siebie —  
 leci wprost na niego — Po niebie  
 płyną, jak orły dwa  
 ku sobie — na bój — —  
 orły, którym za ciasne były błękitów dale,  
 które w piersiach zatopią skrzywiony dziób swój — —

Słyszysz! — karabiny maszynowe:  
 słyszę strzał po strzale — —  
 Tamten ucieka — zatoczył koła połowę — —  
 teraz lecą ku sobie przodem —  
 strzelają oba — w półkolach się mijają —  
 ten na górze, ten pod spodem — —  
 Już nie wiem który  
 nasz — czy ten z dołu, czy z góry — —

Błysk — jakby płomień zapalki — jeden się pali —  
 spada w dół na te szczyty wdali —  
 dymu smuga szara  
 snuje się za nim przez niebiosy — —

Znowu jedna ofiara —  
 jedna z tysięcy — —

Masz: zapal papierosa — —

## NAD WODĄ

Srebrzyste grzywy wodnych pian  
szemrają jakieś dumy,  
jak zbóż ojczystych złoty łan,  
jak naszych drzew poszumy — —

Siadam nad wodą, słucham dum,  
co szemrzą wodne piany —  
i słyszę borów polskich szum  
i polskie widzę łany — —

A że daleko ojców łan  
szumiący, szczerozłoty —  
przeło w poszumy srebrnych pian  
padają łzy sieroty — —

(Nad Brentą 1918.)

## WYTCNIENIE

Na stokach gór — w winnicach stoją wille białe —  
przy nich śmigłe cyprysy, zgięte wpół we wietrze — —  
z pod nieba przez przejrzyste, błękitne powietrze  
lśnią świeże śniegi, spadłe na jałową skałę — —

Kasztanową aleją jesienny wicher leci —  
zeschłych liści gromadą po żwirze szeleści —  
szepce i rozpowiada jakieś opowieści  
wiekuiste, niezmiennie od setek stuleci — —

Szumią liście wśród blasków gasnącego złota — —  
Nademną żal, jak czarny motyl się trzepota —  
nawet mi jednej chwili spokoju zazdrości — —

Bo też te zwiędłe liście, któremi wicher prószy,  
jakby niosły coś w przeszłość w mojej własnej duszy:  
strzępy, w krwawej wędrowce steranej młodości — —

Trydent, 1918.

---

---

## Z OBCZYZNY

Ojczyzno! Widzę twoje roześmiane pola  
jasnym słońca uśmiechem, co na rosach świeci —  
świeże krzyże na łąkach i te z przed stuleci,  
a wśród mogił i krzyży idzie twoja dola — —

Na ramionach swych dźwiga królewskie szkarłaty,  
które coraz krwawszemi pyszną się kolory —  
idzie przez złote łąny, rozmodlone bory  
i patrzy w twoje grody i dworki i chaty — —

Ojczyzno! Widzę twoje oczy załzawione,  
na skroniach umęczonych cierniową koronę  
i krew twą, która w pola rozorane ścieka — —

Widzę, jak do swych synów wyciągasz ramiona —  
Chcę biec — przytulić głowę do twojego łona,  
ale droga przede mną niezmiernie daleka — —

Front włoski 1918.

## W NOC WIGILIJNĄ

Hej! Iść mi dziś w białe pole,  
w zaśnieżone wnijsć topole,  
światła zoczyć gdzieś —  
i przez białe, miękie puchy  
w wirze śnieżnej zawieruchy  
wejść w lechicką wieś — —

Szedłbym w bladych gwiazd migocie,  
w świętym lęku i tęsknocie  
opłotkami chat;  
przez wpół śniegiem zgięte wrota  
popod okna, w smugach złota  
wszedłbym w martwy sad — —

Wichr-by nacichł — — W świetle bladym  
okien chaty — martwym sadem  
sypałby się śnieg —  
i na stóp mych świeże ślady  
całun z srebrnych gwiazd gromady  
do równa-by legł — —

Stałbym, patrząc w okna chaty  
przez lecące śniegu płaty — —  
świat-by zcichł i zgłuchł,  
żebym słyszał, jak przez drzewa  
po gałązkach się przesiewa  
cicho srebrny puch — —

W taką ciszę rzewną, boską  
szłaby noc nad polską wioską  
od nieba, od gwiazd — —  
a tam, w izbie poza stołem  
kmieć z rodziną siadłby społem,  
niby stary Piast — —



Hej! iść mi dziś cichą nocą,  
gdy się w śniegach gwiazdy złocą,  
iść do polskich chat,  
aby śnieżne, miękie pyły  
już na zawsze przyprószyły  
krwawych dróg mych ślad — —

Hej! Przejść mi dziś nocą jedną,  
nim te złote gwiazdy zbledną  
tysiąc gór i rzek —  
przejść znajomą ojców stroną  
i mą pierśią uznojoną  
runąć w biały śnieg — —

Front włoski.

## WSPOMNIENIE

Bartkom polskim, ostatnim bohaterem z Mte Pertica i Asolone.

Nikt nawet waszych imion nigdy nie zasłysz —  
ani wam nędznych krzyży nie stawią na groby — —  
kruki zakraczą tylko głuchą pieśń żałoby  
po ośniezonych turniach pośród martwej ciszy — —

Legliście wy ostatni na alpejskiej grani,  
rozdartemi piersiami zwróceniu ku niebu:  
Bóg wam zorzą zapalił gromnice pogrzebu,  
na którym chorał wojny kończyli szatani — —

Znowuście szczerze polskie otworzyli serce,  
hojnie krwią swą bluznęli za obcą wam sprawę — —  
w skonaniu wam zabiegły bólem oczy łzawe:  
jedna śmierć was zabrała wiecznej poniewierce — —

Legliście wy ostatni na alpejskiej turni — —  
Nikt nawet waszych imion nigdy nie zasłysz,  
tylko po śnieżnych Alpach, pośród martwej ciszy  
pieśń żałoby zakraczą wam orłowie chmurni — —

Dziś polskimi polami w śniegowej zamieci  
grzmi kolenda: Chrystus się narodził na ziemi — —  
spokój duszę otula skrzydłami białymi —  
betlejemska nam gwiazda nad strzechami świeci — —

I wy tam pewnie oczy w skonaniu stężone  
zwracacie dziś z pod hełmów ku północnej stronie —  
i wam też pewnie gwiazda betlejemska płonie  
ponad Monte Pertiką i nad Asolone — —

## INWALIDA

Cisza słoneczna w popołudnie letnie  
 w złocie stanęła u kościelnych wrót:  
 smugą w głąb kruchty spojrziała dyskretnie —  
 oblała złotem postać Chrysta Pana,  
 co wisiał z głową pochyloną wprzód  
 na wielkim krzyżu z szerniałego drewna,  
 tuląc ku sobie kańciaste kolana — —

Kościół był pusty — — U drzwi przed kościołem  
 spał inwalida, oparty o schód:

Mina się zdała schmurzona i gniewna —  
 kosmyki włosów sterczały nad czołem —  
 twarz się świeciła w potu grubej rosie,  
 a wielka mucha, zielona, błyszcząca  
 spacerowała po czerwonym nosie  
 wdół zakrzywionym ku wargom odętym — —  
 Z kąta ust, w grymas ułożonych brzydko  
 spływała, lśniąc się w złotych blaskach słońca  
 ku piersiom ślina przerywaną nitką — —

Przed nim leżał szary kapelusz wymięty,  
 w który rzucali ludziska potrosze  
 dziś, po niesporze jałmużniane grosze — —  
 (dla tego dziada, co to medal złoty  
 na piersiach przyniósł po wojnie do domu —  
 Walny był parob — wiadomo — nikomu  
 nie ustępował we wsi w czemś z roboty,  
 ni w bijatyce — — Dziś drewniane gnaty  
 wlecze za sobą od chaty do chaty —  
 u drzwi kościelnych pacierze mamrota) — —

Spał — — Śnił widocznie: jakowaś tęsknota  
 dziwnym mu smętem omroczyła lice —  
 jakieś charkoty rwały się we grdyce — —

Śnił najwidoczniej, bo ciskał się czasem —  
 o schód drewnianym uderzał kulasem —  
 mocno zawijał swe żylaste pięście,  
 jakgdyby komuś niósł gromkie nieszczęście — —  
 Śnił: Krzepko dzierzył karabinu drewno —  
 stał na swych nogach rozparty szeroko —  
 czekał na atak — — dziś miał być na pewno — —  
 Deszcz mżył — świat nocną zakryty omroką —  
 wszyscy gotowi — — głośno serca biją — —

Błysła rakietą i — — Jezus Maryjo!  
 Jak poszli — — Psiakrew! — Jak poszli przed siebie — —  
 Tyle się światła jarzyło na niebie — —  
 poryki armat — kul szydne jazgoty —  
 od lewej flanki prały maszynygwery — —  
 Wpadliśmy w rowy: Psiekrwie — bersaljerzy! — —  
 W ślepie nam lunął skądś reflektor złoty:  
 Prac-my zaczęli — kolbami — w łeb — z góry —  
 (samiśmy byli zadziorne Mazury)  
 po hełmach — przez pysk — po trupach butami — —  
 Hurrra! — batalijony szły drugie za nami,  
 a my wciąż naprzód walili przed siebie — —  
 Wrzaski — rżenia — i po łbach chroboty —  
 przekleństwa — nowe kompanje piechoty —  
 i od krwi lepkie, ręce uznojone — —

Zachrobotyły z flanki maszynygwery:  
 padło nas kilku — — Jak skoczę w tę stronę  
 i jak nie lunę, nie kopnę, nie prasnę:  
 narazem zwałił coś chłopów ze cztery — —  
 Granat mi podciął me kulasy własne:  
 runąłem w ciepłą posokę i ciemnię  
 na maszynygwery, zdobyte przeze mnie — —

Szpital! — Oj, długo śmierć, chytra kostucha  
 się nachylała do mojego ucha  
 i namawiała na gody ze sobą — —  
 długom się parał z tą psiąkrwią chorobą,  
 aże se przecie poszła gdzieś do diabła — —

Potem ów ranek, kiedy pierś osłabła  
jęła grać w słońcu złocistym medalem:  
Ledwie mógł ustać w tej paradzie, alem  
zębce zacisnął, pazury-m wbił w skórę — —  
Podchodził przecie ku mnie sam generał —  
siwy, by gołąb — na lasce się wspierał —  
Śmiały się do mnie jego oczy bure — —

Stanął przedemną i prawił coś wiele — —  
Mnie ci aż ciarki chodziły po ciele,  
bo ci raz po raz mówił: Anton Zając —  
(to niby o mnie) — wreszcie się zwracając  
do adjutanta wziął pięknej roboty  
małe puzderko i ręką swą drżącą  
przyпинаł na pierś wolno medal złoty — —

Ocknął się śpiący, bo mu zbyt gorąco  
już dokuczyło — — zoczył swoje kule  
i łza mu spadła na zgrzebną koszulę,  
łza, co się w serce gorzkim jadem toczy — —  
ku Chrystusowi zwrócił wilgne oczy,  
który na krzyżu w milczeniu się smęci  
ponoć lat pięćset — od świętej pamięci,  
dźwigając wielką, cierniową koronę — —

Potem rękoma zbierał zylastemi  
do kapelusza, przez wiater po ziemi  
porozrzucane papierki czerwone — —

## U GRANIC

Majorowi Jerzemu Dobrodzickiemu,  
komend. 2 pułku bryg. podhalańskiej.

Niby te Tatry, co szcerbą krzesanic  
kraj nasz po niebo zaparły  
stoim żelazną brygadą u granic,  
jak hufiec wojów umarły,  
co gromem Rogu złotego zbudzony  
wypadł przez mroczne wykroty —  
u Tatr wieczystych kamiennej korony  
zawisł słoneczny a złoty — —  
Stoim! — niech o pierś grom nam się rozwala!  
Stoim żelazną brygadą Podhala!

Niby te orły zawiśniam u regli —  
hufiec rycerzy a stróży — —  
orlą źrenicą granic będziem strzegli  
w wichrach, kurniawach i burzy — —  
Śpiew nasz spiżowy o turnie zadzwoni,  
obwieści niebu i ziemi  
żeśmy u granic razem z dłonią w dłoni  
wszyscy z sercami wolnemi — —  
Stoim! — niech o pierś grom nam się rozwala!  
Stoim żelazną brygadą Podhala!

## ZŁOTE PLONY

Kłosa złote w poszumie na pierś mają się kłonią,  
wicher je muśnięciem skrzydeł roztrąca, nachyla:  
płyną przez wielkie łany morskich fal pogonią —  
w falach żeglują białych motyli flotylla — —

Wicher po kłosach szumi, szemrze i szeleści — —  
chwile ścichnie — to w groźnym poświście przeleci,  
jakby przywiał orężne z bojowych pól wieści —  
to znów szepta, jak matki nad kołyską dzieci — —

Żniwnem polem w modlitew odwiecznych szemrocie  
idą dusze praojców w słonecznej pozłocie  
patrzeć się po zagonach, jak zeszło ich ziarno — —

Z ócz im szczęścia łzy lecą w dużych kroplach rosy,  
bo siewowi ich hojnie błogosławią losy:  
pszenne łany się złocą nad krwią ich ofiarną — —

## ZMARTWYCHWSTAŁEJ

Dźwigali cię z grobowca — przeszło wiek dźwigali —  
 wszyscy, jako kto umiał i wielcy i mali —  
 wszyscy krwią swą znaczyli kamień grobnych wrót,  
 by się jeno uścił śniony, wielki cud —  
 cud Zmartwychwstania — —

I zmartwychwstałaś z krwi  
 przekłutych serc, rozprutych żył —  
 z tych chwil niewiary, w których czart drwi,  
 kiedy Boga z błękitu zrzuca — zda się — w pył —  
 we wieków rumowisko — —

Zmartwychwstałaś z tych grzbietów przytłoczonych nisko  
 od trudów niepomiernych — z lat głuchej rozpaczey,  
 co się w żrenicach ludzkich obłąkaniem pali,  
 a na czole przekleństwem potępienia znaczy — —

Ponad lasem szubienic, czerniącym się wdali,  
 gdzie wicher wśród wisielców z skowytem przegania  
 wstawało pierwsze zorze twego Zmartwychwstania — —

Ze syberyjskiej tajgi, katorgi i kaźni  
 upodlenie człowiecze wołało wyraźniej,  
 niżli grom, co się grozą w ludzkie mózgi wwierca,  
 bo tam konały dusze i pękały serca,  
 a te musiał usłyszeć sprawiedliwy Bóg — —

Zmartwychpowstałaś z bólu, z nędzy i ze trwóg —  
 i z tych szaleńczych bojów: krwawych poematów —  
 z tych kości porzuconych na krawędziach światów —  
 z tych nieziszczonych tęsknot, zwiedzionych nadziei  
 i z bezgranicznej, świętej, życiotwórczej wiary — —



Tylekroć twe orłowe dźwigano sztandary  
ku słońcu, wśród bitewnej, burzowej zawiei —  
kule z nich jeno nagie ostawiły drzewce — —

Lecz łanami twojemi szli rozrzutni siewce,  
rzucając po królewsku w martwą skibę czarną  
najdroższej swej serdecznej, bezcennej krwi ziarno — —

Zmartwychwstałaś z tej siejby rozrzutnie rzucanej — —

Grom słoneczny ozłocił dziś dostałe łany,  
grobu twojego krusząc zatrzaśnięte wrota:

Wyszłaś Polsko w zórz blaskach, niby zjawa złota,  
a sprawiedliwy Stwórca, skrzywdzonych obrońca  
złożył na twojem czole pocałunek słońca — —

## WOJENKO, WOJENKO

Pędzili w doróźce wzdłuż Błoń,  
 ile jeno wyskoczył fijakerski koń —  
 rozparci szeroko, niedbale — —  
 Pędzili aleją gdzieś w słoneczne dale  
 w popołudnie niedzielne, pod wiosnę:  
 twarze mieli czerwone, radosne —  
 wszyscy krzepko rękami machali — —  
 (pewnie słońcu przed sobą w oddali  
 nowe drogi znaczyli na niebie)

Wszyscy czterej podobni do siebie  
 (bo to mundur upodabnia ludzi)  
 gołowąsi, weseli, nie chudzi,  
 rozbawieni szeroko i szczerze — —

W doróźce czterej jechali żołnierze  
 w popołudnie niedzielne — gruntownie pijani  
 i śpiewali:  
 (wedle odwiecznie znanej tej pijackiej manji)  
 Wojenko, wojenko cóżeś ty za pani,  
 że na ciebie idą, że na ciebie idą  
 chłopcy malowani — —

Jeden na koźle przy woźnicy siedział,  
 bez czapki — włosy płowe, czesane na przedział  
 chwiały się, by dwie owsa dojrzałego wiechy  
 na wietrze — — Śmiał się całym swem licem pyzatem  
 i tak ze szczerej uciechy  
 konia okładał batem:

Niech wie fijakerskie ścierwo,  
 że ma jechać z paradą i werwą —  
 pełen ognia i rzetelnej buty,  
 ażby dudniał gościniec ten bity —

bo tu jadą zaciężne rekruty  
 najjaśniejszej Rzeczypospolitej — —  
 Chłopcy malowani,  
 sami wybierani  
 wojenko, wojenko — cóżeś ty za pani — —

Na skórzanych poduszkach rozparło się dwóch:  
 jeden drugiego obłapił za kark —  
 ręką jednaki zakreślają ruch —  
 jedna pieśń rwie się z roześmianych warg — —  
 Głowami ciężko kolebią na boki —  
 gęby se drą od ucha do ucha —  
 i ten gest ręką niedbały, szeroki — —  
 Uha! — psiajucha!

Niech świat patrzy — niech świat czuje —  
 te mieszcuchy — te burżuje,  
 co to chodzą na spacer —  
 te — te psiekrwie — te cholery! —  
 Niech się patrzą — niech se ślepiec wybałuszą,  
 że się bawim całą duszą — —

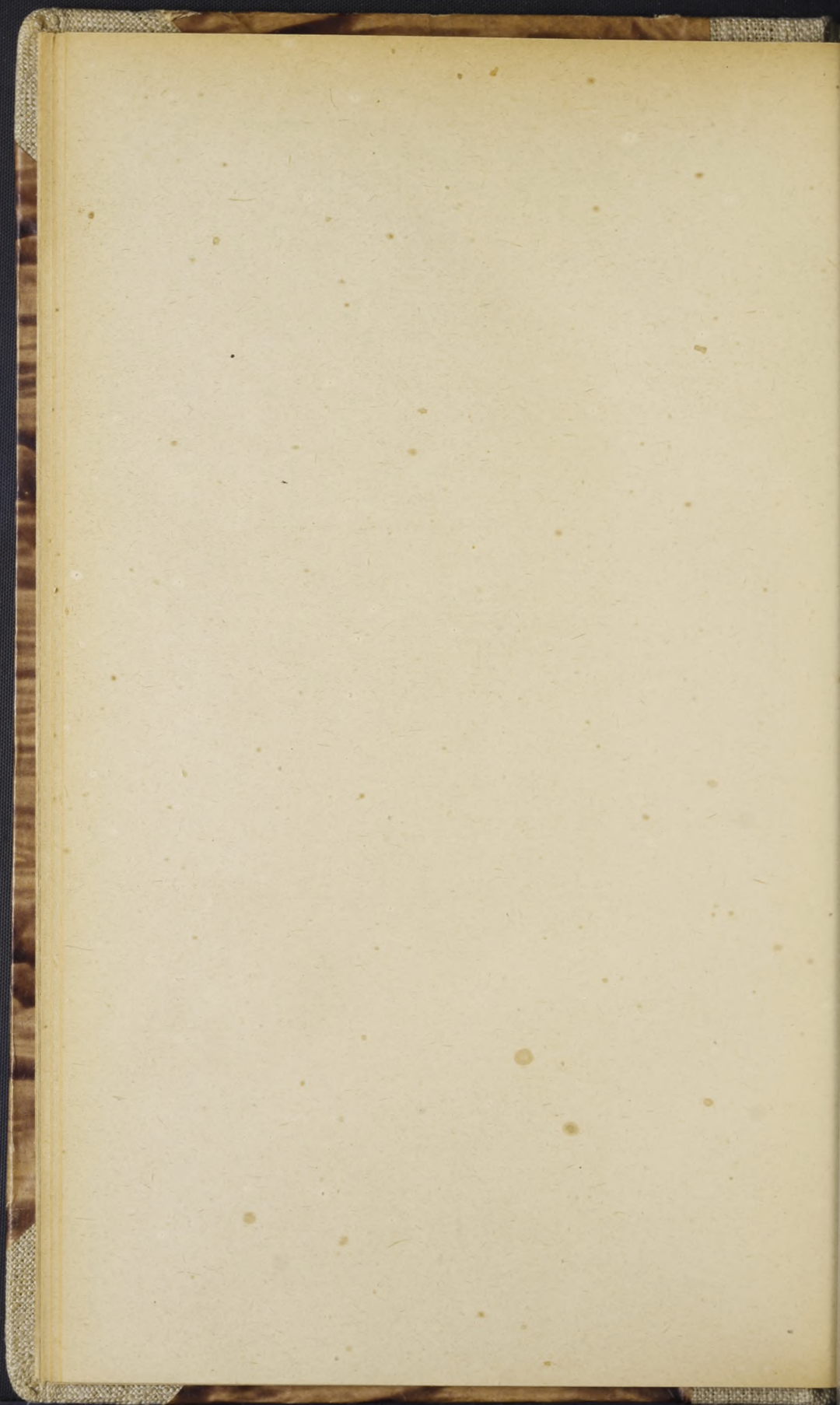
Naprzeciwko tych dwóch siedział czwarty:  
 z harmoniją — w kolanach szeroko rozparty,  
 pijany — zda się — za trzech — —  
 prawą ręką wdół ciągnął harmoniji miech,  
 po perłowych klawiszach palcami przebierał — —  
 Darł się z nich najrzetelniej, kieby sam generał  
 przed frontem na paradzie jakiej — —  
 Czapkę zsunął w tył głowy — rozmierzwiłone klaki  
 z fantazją potrząsał nad czołem — —  
 Śmiał się do swych kompanów, co zgranym zespołem  
 darli się w niebogłoty: Chłopcy malowani,  
 sami wybierani  
 Wojenko, wojenko —  
 wojenko, wojenko —  
 cóżeś ty za pani? — —

Przejechali — — Z pod kopyt się wzbil  
 w białym tumanie gościńca pył — —

Przechodnie stawali —  
patrzyli —  
i po chwili  
szli dalej — —  
Jakiś pan wyniosły  
szepnął pod wąsem: że osły —  
drugi (słyszałem wyraźniej):  
że — błażni —  
ale tego nie słyszeli oni  
ci, jadący przy dźwiękach harmonji —  
ci, w doróźce jadący wzdłuż Błoń,  
ile jeno wyskoczy fijakerski koń —  
aże dudniał gościniec ten bity,  
jakby rytmem do śpiewanej nuty — —

Przejechali zaciężne rekruty  
najjaśniejszej Rzeczypospolitej:  
Chłopcy malowani,  
sami wybierani  
Wojenko, wojenko —  
wojenko, wojenko  
cóżes ty za pani? — —

II.



## PASTEL

Seledynowy zaglądał poranek  
 przez duże okna na balową salę —  
 w nikłych półtonach wszedł z poza firanek,  
 strojny w topazy, szmaragdy, opale  
 i gasił światła, co jeszcze pełgały,  
 idąc w mgłach złotych, niby anioł biały — —

Seledynowy zaglądnął poranek  
 i spojrzął na cię: byłaś cała w bieli —  
 byłaś, jak jedna z dawnych kasztelanek,  
 co zeszła w salę z wyblakłych pasteli —  
 jak wietrzyk ranny upojna i wiewna —  
 snów krasawica i bajek królewna — —

Usiadłaś obok od tańca zdyszana —  
 na piersi twojej drżała róża świeża  
 równo, miarowo, jakby ją fal piana  
 w rytm kołysała kędyś u wybrzeża —  
 Cienie rzęs twoich opadły na lice,  
 jakgdyby kryjąc jakąś tajemnicę — —

Usiadłaś obok od tańca zdyszana —  
 rękę z wachlarzem oparłaś o karło —  
 w śmiechu zastygła ust twych krwawa rana,  
 jakby na wargach pół słowa zamarło —  
 słowa, co większe niż gwiazdy i słońca,  
 więc się go nigdy nie mówi do końca — —

Seledynowy zaglądnął poranek  
 przez duże okna na balową salę — —

## COLOMBINO

Colombino!

Miłość ku tobie Pierrota

była szczerzłota — —

Cóż, że gwiazdy w ciemnych chmurach giną? —

Cóż, że kwiaty z drzew wichur postrąca? —

Byłaś, jak burza gromem jaśniejąca

nad życia martwością — —

pijana szczęściem biała Colombino — —

Cóż mnie, że cię ponosi tan wkoło?

Jam w gwiazdy srebrne ustroił twe czoło,

owieję kwiatów zasypał cię całą — —

Drogę ci mleczną niebo podesłało

pod stopy, które tarasiły serca — —

Szłaś pośród gwiazdowego kobierca,

niby kochanka muz —

wieniec róż krwawych w twoje skronie wrósł —

szłaś przez martwość życia — —

pijana szczęściem biała Colombino — —

Cóż, że kwiaty opadną?

Cóż, że się w przepaść posypią gdzieś na dno,

Kiedym ja ciebie w wieczne ubrał kwiaty,

co kwitną w nieba błękicie

w cudach miesięcznej poświaty —

Kiedym cię stworzył na wieczyste życie,

na zapomniane lata, co nigdy nie miną,

pijana szczęściem biała Colombino!



## CZY MYŚLISZ

Czy myślisz, że ci będę pisał krwią? —  
 że ci me serce rzucę do twych nóg? —  
 Słyszysz ten taniec: pary naprzód rwią —  
 gwiazdami sypnął w wir zdaje się Bóg — —  
 Pawie się pióra jeno w tańcu skrzą —  
 sznurków koralu miga jasna krew —  
 gwiezdny dyjadem lśni nad głową twą — —  
 Tańczysz królewno — ty najpierwsza z dziew — —

Czy myślisz, że ci będę pisał krwią? —

Płyniesz o cudzie z jedną wiru fal —  
 usta twe krwawe śmiechem z życia drwią —  
 a tak mi ciebie bardzo — bardzo żal — —  
 Unosi ciebie nieustanny tan — —  
 chwieją się górą kity pawich piór — —  
 Płyniesz, jak bajka w burzy srebrnych pian,  
 ty, najpiękniejsza z króla Tęsknot cór — —

Czy myślisz, że ci będę pisał krwią? —

Szczęście ci własne rzuciłem do nóg — —  
 Ty je druzgocesz drobną stopą swą,  
 wicher je niesie na rozstaje dróg — —  
 Płyniesz o cudzie z jedną wiru fal — —  
 usta twe krwawe śmiechem z życia drwią —  
 a tak mi ciebie bardzo — bardzo żal — —

Czy myślisz, że ci będę pisał krwią? — —

## UŚMIECH

Tak mi cię dziewczę żal — —  
a twoje wargi tylko uśmiech pieści,  
a taki pusty, a taki bez treści —  
uśmiech, co przywarł do twych cudnych lic,  
uśmiech, co w sobie ma coś z pustki fal,  
nieogarnionej, przeogromnej dali  
i z meteoru, co moment się pali —  
uśmiech, mówiący i wszystko i — nic — —

Po ustach twoich, jak wąż się przewinie —  
znika, wtulony w wilgne pąki warg,  
to załśni blaskiem, niby w jarzębinie  
słońce, świecące jesienią na park —  
to znów swawolnie przylgnie do twych lic —  
uśmiech, co w sobie ma coś z niebios dali  
i błysku gromu, co moment się pali —  
uśmiech, mówiący i wszystko i — nic — —

## NIBY JAKAŚ KSIĘŻNICZKA

Niby jakaś księżniczka rycerskiej ballady  
idziesz w wiosennem słońcu cudna, złotowłosa  
poprzez wiśniowe, kwieciami ośnieżone sady:

W twe włosy brylantami spada ranna rosa,  
a kwiat płątami śniegu opyla twe skronie,  
lejąc śnieżną owieją przez modre niebiosa — —

Idziesz w cudzie swych włosów, jak w złotej koronie  
przez rozkwitnięte sady księżęcej rubieży  
a wiosna kwiat ci sypie pod stopy w pokłonie — —

Idziesz wiśniowym sadem — i sad kwieciami śnieży — —  
Przechodzisz, popod kwiatem osypane drzewa,  
śniąc pewnie o turniejach kochanków-rycerzy — —

Z ramion twych płynie włosów złocista ulewa  
w miękiej, błyszczącej w słońcu falistej kaskadzie,  
co się pyłem promieni wśród kwiecica rozlewa — —

Wiosna kwietny kobierzec pod twe stopy kładzie —  
Jakgdyby w jakimś świętym, mistycznym obrzędzie  
jawisz się złotowłosa we wiśniowym sadzie,

cała w wiosny i słońca i kwiatów legendzie — —

## ŚNIEG

Czekałem tu na ciebie,  
czekałem długi czas:  
na ołowianem niebie  
w śniegach dzień szary gaśł — —

Przeszłaś — — i zmierzch już blady  
aleją pustą legł —  
na drobnych stóp twych ślady  
prószy i prószy śnieg — —

Mrok, jak grobowe wieko  
nad martwą ziemię padł —  
szeroko i daleko  
śnieg prószy, prószy w świat — —

## NAS - TROJE

Ponad nawą kościoła swoje czarne skrzydła  
rozpiął mrok i jak motyl skrzydłami trzepota  
w migocie wiecznej lampy, śląc smugi złota  
na szerniałe w ołtarzu jakieś malowidła — —

Modlitwy w pół szeptane uwiedłemi usty  
pogarbionego starca brzmią tak uroczyście,  
jakby wicher przeganiał z szumem zeschnięte liście  
przez park, gasnący w złocie — zadumany — pusty — —

Czar mroku podszedł ku nam i wziął nasze dusze —  
prowadził je w bezkresy w gwiazdnej zawierusze,  
kędę szlakiem szafirów pnie się mleczna droga — —

Szliśmy z tą tajemnicą smutną w naszej piersi,  
której znać nie śmia nawet ci nasi najszczęśliwsi —  
nikt prócz nas tylko i prócz milczącego Boga — —

## NIE DZIWIW

Nie dziw, że patrzę zawsze w oczęta  
twe, jaśniejące cichym błękitem:  
drzemie w nich bowiem gwiazd cisza święta  
i cisza morza, co srebrnolitem  
skrzydłem mew jeno w promień słońc trąca — —

Drzemie w nich jeszcze dziwna tęsknota  
łanów litewskich — ich pieśń szumiąca,  
co się jak motyl czarny chybotą  
na lekkich skrzydłach w słońca pokrwawie — —

I oczy twoje patrzą tak właśnie,  
jakby mi chciały mówić o sławie —  
o jakimś szczęściu, cudowne baśnie — —

I oczy twoje piękna dziewczyno  
patrzą, jak oczy mej zmarłej matki — —

---

## BŁOGOSŁAWIONE...

Błogosławione twoje dobre oczy,  
z których przegląda tajemnic głębina —  
ciche, jak oddal błękitów przeźroczy,  
co się na stropach wszechświata rozpina —  
ciche, jak morza niezmierzone dale,  
jak noc w poświacie idąca przez fale — —

Błogosławione twoje usta krwawe,  
rozkwitające, jak różane pąki,  
z których w snach wzięłem nieśmiertelną sławę,  
jakgdyby z kwiatów — gdzieś z mistycznej łąki,  
gdzie kwitną życia nieśmiertelne zioła,  
ale ich sięgnąć nikt nigdy nie zdoła — —

Błogosławione twoje dłonie ciche,  
cudne i wonne, jak bzów śnieżnych kiście,  
którymi zdjęłaś z mego serca pychę,  
jak arcykapłan dziwnie uroczyście  
i nad zdumione tą ciszą szyderce,  
jakby monstrancję wzniosłaś moje serce — —

## CHCIAŁBYM IŚĆ Z TOBĄ

Chciałbym iść z tobą przez prastary park  
przekwitających akacyj aleją —  
zdala od ludzkich niedoli i skarg  
patrzeć, jak drzewa śnieżne kwiaty sieją — —

W twe ciemne włosy sypałby się kwiat  
akacyjowy, jak płaty śniegowe —  
cichą pieszczotą na pierś twą by spadł,  
bieluchnym puchem ustroiłby głowę — —

Szłabyś po kwiatach, jak w krainie złud,  
przez więdnących wkrąg akacyj nawę —  
szłabyś, jak snów mych nieziszczalny cud,  
wznosząc ku słońcu swoje usta krwawe — —

Chciałbym być z tobą dziewczę sam na sam:  
iść spadłych kwiatów śnieżystym kobiercem —  
iść kwietną drogą gdzieś do szczęścia bram  
i czuć to szczęście twą duszą — twem sercem — —

Chciałbym iść z tobą przez prastary park — —



## TY NIE WIESZ SAMA

Ty nie wiesz sama, jaki jasny cud  
szczęścia i ciszy przynosisz mi codzień — —  
Jestem, jak drogą znużony przechodzień,  
co staje czasem u zamkniętych wrót,  
poza którymi w słonecznej lśni złota  
przez park przechodzi widoma tęsknota — —

Stoję i patrzę obojętny widzę,  
choć się ku niej dźwigają ramiona,  
choć poznaję, że to przecież ona —  
po tej zadumie rozpoznaję lic,  
że ta tęsknota, to zwid duszy mojej,  
zwid wiecznych pragnień — wiecznych nieukoi — —

Widzę, jak idzie zapatrzona wprzód,  
by lunatyczka aleją bez końca  
w wiecznej wędrówce do krainy słońca —  
i stoję cicho u zamkniętych wrót,  
by odchodzącej, pogrążonej we śnie  
moim okrzykiem nie zbudzić przedwcześnie — —

Ty często schodzisz ku mnie, do tych wrót,  
na oczy moje kładąc czar twych dłoni —  
i jestem wtedy, jak pielgrzymi oni,  
dążący lata gdzieś w słoneczny gród,  
którym na chwilę uznojone czoła  
nocą objęły skrzydła snu anioła — —

Ty nie wiesz sama jaki jasny cud  
szczęścia i ciszy przynosisz mi codzień — —

## POJEDZIESZ SOBIE W DALE

Pojedziesz sobie gdzieś daleko —  
słoneczną, złotą dalą,  
mnie łzy zostaną pod powieką,  
łzy, co tak bardzo palą — —

I łzom nie wolno spaść z pod powiek,  
zesunąć się przez lice,  
bom jest, jak ów kamienny człowiek,  
kryjący tajemnicę — —

Słoneczną pójdziesz w dal legendą  
pszenicznym polem złotem — —  
Jak mnie łzy moje palić będą,  
ty wiesz najlepiej o tem — —

I łzom nie wolno spaść z pod powiek,  
zesunąć się przez lice,  
bom jest, jak ów kamienny człowiek,  
kryjący tajemnicę — —

---

---

## JEJ ŁAN

I.

Pszenne kłosy na twojem kołyszą się polu,  
ciężarem złotych ziaren schylone w pokłonie —  
i niema w nich ni chwastów, ni zielsk, ni kąkolu,  
bo łan z wiosną obsiały twoje święte dłonie — —

I ze ziaren, rzuconych w pierś otwartą glebie  
wyrosły pszenne kłosy złotolitą ławą,  
a że siew był dostojnie rzucony przez ciebie  
ty jedna brać te plony stokrotne masz prawo — —

Ty je zbierzesz i ludziom poniesiesz w ofierze:  
niech każdy kto zgłodniały, bezdomny i bosy  
twoich rąk uświęconych z radością odbierze  
ciężarne złotem ziarnem pełne, pszenne kłosy — —

Niech nikt nie wie, że łany obsiałaś krwią moją,  
rzucając ją kroplami po pustym zagonie,  
bo, że łany złotemi kłosami się roją,  
to dlatego, że siały twoje święte dłonie — —

## II.

Przyszli dzisiaj o świecie jacyś robotnicy  
i twój łąn złotokłósy w pień zaczęli żąć:  
słyszałem kos poświsty, chrzęst żrącej pszenicy — —  
Biegłem, by uciec stamtąd choć gdziekolwiek bądź —

Widziałem jeszcze zdala jasnych kos błyskanie,  
jakby gromów połyski pośród złotych chmur — —  
Wróciłem o zachodzie i na twoim łąnie  
stał już snopów związanych długi — długi sznur — —

Patrzyłem: kłos dojrzały — aż się sypie ziarno —  
Śmiałem się sam ze siebie i aże mi dziw  
mej ucieczki — — Na polach i rojno i gwarno,  
wszak zboża już dostały i nadszedł czas żniw — —

Jeno snopy się zdały, jak korowód mniszy,  
który jakimś zakłębieniem w złote rżyska wrósł  
i ruszy po zachodzie w wielkiej, świętej ciszy,  
a za nim się potoczy w dal śmiertelny wóz — —

Jeno było mi smutno, żeś nie przyszła zrana,  
kiedy rój najemników do košby się wprzągł,  
bo rola przecie twemi rękoma obsiana,  
więc choćby pierwszy pokot paść z twych winien rąk —

Pamiętasz? — szłaś o wiosnie jeszcze pustym łąnem,  
rzucając w ziemię hojnie świętą dłonią siew —  
szłaś z pogodnem obliczem słońcem całowanem  
i siałaś po królewsku serdeczną mą krew — —

## III.

Gęste, mleczone mgły, cicho do ziemi przywarły,  
do rżysk szronem sprószonych, do miedz i do dróg --  
przez twój łąn wykoszony, pusty i umarły  
idzie głęboką bruzdą wzdłuż srebrzysty pług --

Snopy zwieziono wczoraj do pustej stodoły,  
wnet zesypią w siasieki ziarna twoich zbóż -- --  
Pewnie je zmarnotrawi -- roztrwoni napoły  
twoich mnogich spichlerzy płatny szafarz-stróż --

A ziarna urodziwe wzięłaś w setnym plonie,  
jeno je jeszcze trzeba oddzielić od plew --  
a to zdołają tylko, twoje święte dłonie,  
co rzuciły w zagony w posiewie mą krew -- --

Poszłaś bez troski w światy -- -- Twoi najemnicy  
przyszli -- zboża skosili -- wywieźli je stąd -- --  
Dziś pług srebrny tnie rżysko po złotej pszenicy,  
kładąc skibę na skiby w jeden długi rząd -- --

Mgły na polach jesienne -- smutek i martwota,  
w bruzdy za pługiem padło stado zmokłych wron --  
w mgłach przebłyskuje słońca śc್ಮiona lampa złota,  
jakby świeciła światu całemu na zgon -- --

Pług twój srebrny me piersi głęboko przeorał,  
rękomą najemnika wparty aż do trzew -- --  
W mgłach nade mną się niesie wron cmentarny chorał,  
jak żalny, ponad trumną rozelkany śpiew --

Poszłaś bez troski w światy -- -- Twój łąn rozorany,  
ale ty nie obsiejesz łąnu płodną krwią -- --  
Że się na nim rozplenią szalej i łopiany  
na rok przyszły -- to będzie tylko winą twą -- --

## IV.

Ty przysłaś, przysłaś wreszcie, ale zimą białą,  
kiedy na łanie twoim puch srebrzysty legł,  
kiedy skiby bieluchnym już pyłem zawiąło,  
kiedy zadymka siała przygarściami śnieg — —

Przysłaś w wielką śnieżycę, jakby zjawą senną:  
w licach skrzepł ci zadumy jakiejś wielki smęt,  
szukałaś kędy łan twój — kędy twoje lenno,  
idąc wśród zasp topieli, wśród śniegowych grzęd — —

Szłaś długo przez zawieje — przez ogrom bezbrzeżny,  
kędy wicher się tumańił w kłębach srebrnych pian —  
szukałaś w tym bezmiarze — w tej pustyni śnieżnej,  
gdzie legł na sen zimowy zapomniany łan —

W pożarnej łunie słońce gasło w nieb otchłani —  
fioletem na śniegach kładł się mrok i cień — —  
Tyś szła białą pustynią i znaczyłaś na niej  
krwawy ślad — raniąc stopy o śniegową sreń —

Przeszłaś, nie wiedząc kiedy przez łan zapomniany,  
zaznaczyłaś na śniegu purpurowy ślad  
i w krwi kroplach, któremi sączyły twe rany  
znów siew dostojny w łan twój nieobsiany padł —

Zima się mrokiem sępi — — Odeszłaś bieluchną  
połacią śniegu w dale poprzez zasy wbród —  
ślad szkarłatny zamiecie wnet zasypią, zdmuchną — —  
zostanie w łan wsączony krwi twej żywy cud — —

Błogosławionas przeto żeś nie poszła w gumnie,  
ani w spichlerzu patrzeć, co zrodził twój łan,  
ale szukając siałaś tak szczodrze — tak tłumnie,  
jako posiew krew ciepłą, krew twych boskich ran — —

## WYZWANIE

Uciekałem przed tobą w świat,  
 w śnieżystych gór martwość,  
 kędy mi orlich skrzydeł cień na piersi padł —  
 kędy nademną lśniło jeno słońce złote —  
 gdzie ze mną w martwej pustce nie było nikogo,  
 a przecież — cień twój szedł za mną tą drogą — —

Przez twoje serce patrzył w słońce  
 i twoim sercem szeptałem pacierze  
 do grozy śmierci, co szła wirchami — —  
 I twoje były te łyzy milczące,  
 któremi płakałem szczerze  
 tam, gdzie śmierć pod błękitami  
 szła swem królestwem umarłem — —

Jak pielgrzym ramiona do słońca rozwarłem,  
 rzucając jakieś zaklęcie olbrzymie  
 niebu i ziemi —  
 a tem zaklęciem było twoje imię — —

Tyś szła tam za mną turniami martwemi  
 i tyś słyszała ten głos,  
 poniesiony wichrami na zawrotną perć —  
 ty wiesz, że takim krzykiem wyzywa się los  
 do walki —

na śmierć —

## ILEKROĆ — —

Ilekroś chcę ci zwierzyć tajemnicę —  
ludzkiej tęsknoty wielki, święty cud,  
milczę — i długo spoglądam w twe lice  
i w oczy twoje — — Jak z źródłanych wód

pijesz mej duszy kryształowe zdroje,  
pijesz mych tęsknot najpiękniejszy czar — —  
Powiedzą tobie wszystko oczy moje,  
choć i usta swe milczeniem zwarł —

Czuje, jak oczy twe wglądają w duszę,  
jak ją przejrzały do samego dna —  
i wszystkie tajnie otworzyć ci muszę,  
wszystko powiedzieć, choć milczenie trwa — —  
Choć jedno nawet z ust nie padło słowo,  
a przecież wszystko powiedział ci już  
tą bezszelestną, nieuchwytną mową,  
którą się mówi na głębinach' dusz — —  
Jakby ze źródła czerpać można z duszy  
mową milczenia tęsknot jasny cud,  
jeśli niezręcznie dna się nie poruszy  
i nie zamąci zwierciadlanych wód — —



## MĄDROŚĆ

Nie pytam ciebie wcale — i nic wiedzieć nie chcę — —  
 Słucham pieśni mej duszy, niby szczęścia piewę,  
 co nuci jasną nocą pod gwiazdnym namiotem —  
 A nic pieśni nie mąci, bo usta twe ciche — —  
 Śpiewam gwiazdne tęsknoty, śpiewam twoją psychę,  
 idącą o poranku zbożnem polem złotem — —

Nie pytam ciebie wcale — bo oczu błękity,  
 niby ten niebios namiot nad ziemią rozbity  
 mówią mi nieskończoną wieków tajemnicę — —  
 Nie pytam ciebie wcale — słucham duszy mojej,  
 co doszła do słonecznej świątyni podwoi,  
 patrząc na nieme wargi, na milczące lice — —

Śpiewam pieśń, ale słów twych nie pożądam wcale — —  
 Pójdę na górskie szczyty i ogień rozpalę  
 ponad światem — a wszystko, wszystko w imię twoje — —  
 Jeny ty nie przerywaj świętego milczenia:  
 niechaj ci tajemnicą czoło opromienia — —  
 Nie przerywaj mi pieśni — — Słów twoich się boję — —

## TAJEMNICA

Błogosławionaś za to tajemnicze,  
 święte milczenie, stojące na straży  
 przed pustką duszy twojej — —  
 bo mogłem ja twórca — ja, który dziedzicę  
 wieczyste skarby — dłonią, co włodarzy  
 duchom i gwiazdom — uchylić podwoi  
 do skarbcza, w którym kryła się najświętsza  
 cud-tajemnica — klejnot przeze mnie  
 nigdy niewidziany, tajemnica wnętrza  
 własnego serca — —

Leżał ów klejnot długo tajemnie  
 nierozpoznany w pustce twojej duszy,  
 klejnot, co pieczęć przyszłych wieków kruszy  
 wielki, jak myśli szatana i Boga — —

Złożyłem go bezwiednie sam  
 w duszy twej mroki,  
 w pustkę, przed którą stanęło milczenie  
 u tajemniczych bram — —

I zajaśniała nad tobą pożoga  
 słońca — pas aureoli szeroki  
 okolił twoje skronie — promienie,  
 by strun harfianych tysiące  
 grały świetlaną pieśń niebu i ziemi,  
 a usta twoje były milczące,  
 jak usta tego Boga nędzarzy,  
 co z ramionami w krzyż rozwartymi  
 rzucił w skonaniu miłości słowa  
 i zmiłkł na wieki — —

Błogosławione milczenie twoje,  
 przed pustką duszy stojące na straży — —

---

Czołgałem się, jak ów rab kaleki  
przed te milczenia podwoje:  
w kurzawie drogi legła moja głowa,  
kolana zrzerzał, skrwawił ostry piarg — —

Aż wreszcie padło słowo,  
banalne słowo z twych warg — —

Bóg mnie uderzył jasnością gromową  
i w wielkiej chwili zrozumiałem cud — —  
święte milczenie odeszło od wrót  
twojej duszy. — — pękły w gromie wrota:

Na dnie leżała tajemnica złota  
mego własnego serca — —

Błogosławionaś za to tajemnicze  
święte milczenie, stojące na straży  
przed pustką duszy twojej — —

## CHCIAŁBYM DAROWAĆ

Gromowe pieśni i snów nieukoje  
oddałbym czasem za uśmiech niewieści — —

Darować chciałbym komuś serce swoje,  
tę bajkę marzeń o przedziwnej treści — —

Chciałbym darować serce — lecz się boję,  
że ten dar święty znowu ktoś zbezczęści — —

---



---

## PRZESĄCZASZ SIĘ W MĄ DUSZĘ

Przesączaś się w mą duszę, jak światło witraży  
w pusty kościół, gdzie lampa wieczysta się żarzy  
przed ołtarzem jakiegoś Boga bez imienia —  
Przesączaś się w mą duszę, jak te barwne smugi,  
jak ten, w nawę płynący tęczy pas długi  
wdół z gotyckiego okna, kędyś z pod sklepienia — —

Przesączaś się w mą duszę, jak melodji dźwięki,  
jakieś wdali nuconej, pastuszej piosenki,  
wnikające w słoneczne i ciche przestworze  
cudnej, polskiej jesieni, kiedy w podłóż roli  
idzie w złocistych szatach widmo melancholji,  
kiedy się cień tęsknoty błąka po ugorze —

Przesączaś się w mą duszę, jak we mgły jesieni  
słońce wczesnym porankiem — słońce co się mieni  
mętną barwą topazów i bladych koralu — —  
Przesączaś się w mą duszę jak promień miesiąca,  
co cmentarne cyprisy u brzegów wód trąca,  
spływając w morską głębię tajemniczej fali — —

Przesączaś się w mą duszę, jakby łąza matczyzna,  
co upada na czoło wyrodnego syna,  
niby wielkie i święte przebaczenia znamię — —  
Przepalasz moją duszę, jak to wieków słowo,  
co gdy raz wyrzeczone wstęgą piorunową  
wrota w krainę słońca przed nami rozłamię — —

## CZUJĘ TWĄ MYŚL

Czuję twą myśl nad sobą — kołuje, jak mewa  
śnieżna nad moją głową wiotkimi skrzydłami  
i woń jakąś cudowną dokoła rozlewa,  
jakby tych lip, wśród parku kwitnących nad nami — —

Czuję twą myśl nad sobą — jakby promień pada  
ciepły, słoneczny, jasny wprost na moje czoło — —  
Dzwonią mi słów twych echa i śmiechu kaskada  
i tak mi jakoś dziwnie dobrze i wesoło — —

Czuję twą myśl nad sobą — powieki zsunąłem  
i twej tkliwej pieśczoły chęć bierze mnie pusta:  
zda mi się, że pochylisz się nad mojem czołem  
i muśnięciem warg ciepłych pocałujesz w usta — —

## COŚ SIĘ STAŁO — —

Szedłem zawsze do ciebie po ciszę,  
co ukojem na serce się kładła — —

Wiedziałem, że mnie głos twój ukołysze,  
bo miałaś w sobie coś z tej kołysanki,  
którą zmierzchowe grywają widziadła  
na wielkich polach, dmuchając w multanki  
z jakiejś bezbrzeżnej tęsknoty uśmiechem — —  
Ty miałaś w sobie coś z tej dziwnej nuty,  
płynącej rzewnie w świat mgłami zasnuty,  
tej nuty, co jest modlitwą i grzechem — —

Dzisiaj koniec pieśni — — i nie z winy mojej — —  
Jakieś światło w mej duszy skonało :

Dzisiaj uciekam od twoich podwoi,  
któreś mi zawsze cudną dłonią białą  
wszerz roztwierała — —

Coś się stało -- —  
Rzecz taka mała,  
tak śmiesznie mała,  
że sam się dziwię — —  
dzień po dniu przechodzę: ogniwo po ogniwie — —

Pieśni słoneczna struna w duszy się zerwała — —

Ty wiesz! — ten śmiech — ten krótki śmiech — —

## PAPIEROWE WYCINANKI

Zjawily się na mej drodze,  
którą sam zazwyczaj chodzę  
dziwne twory: ichmościanki  
papierowe wycinanki — —

Uśmiechały się jak ludzie —  
smęt zdawał się stroić lice —  
często ulegały nudzie —  
czasem śmiały się z rozkoszą —  
czasem — zdało się, że noszą  
dziwną w piersiach tajemnicę,  
ot, jakgdyby żywi ludzie — —

Szliśmy razem po tej drodze,  
którą sam zazwyczaj chodzę —  
napatrzyłem się im tyle:  
cudnie cięte ich profile  
przesuwały się przez łany,  
przez niebiosą, poprzez słońce,  
przez gontyny, przez ołtarze —  
zasłaniały czasem Boga — —  
Wstawiałem je we witraże,  
w malowane barwnie freski — —  
Przez gotycki sklep niebieski,  
wybijany w gwiazdy złote  
przesuwałem ich profile — —

Prowadziłem przez tęsknotę,  
(bo tamtędy szła ma droga)  
ku ruinom, ległem w pyle — —  
Prowadziłem przez świątynie,  
kolumnady i krużganki  
dziwne twory: dwie boginie,  
papierowe wycinanki — —



I mówiły nawet do mnie,  
 a rzeczowo i przytomnie — —  
 Jedna zwała Don Kichotem  
 i radziła iść zpowrotem — —  
 Dowodziła mi niezbitcie,  
 że poetyzuję życie — —  
 Wzniosła w górę swoje oczy  
 i rączęta w gest proroczy,  
 błogosławiąc, by Bóg strzegł cię,  
 w czystym zrodzon intelekcie — —

Druga, której wdzięczne usta  
 były posągowo-trupie  
 nie siliła się na słowa,  
 uśmiechnęła się, jak pusta  
 figurenka fajansowa —  
 dla niej było wszystko głupie — —

I szły ze mną po tej drodze,  
 którą sam zazwyczaj chodzę  
 dziwne twory: ichmościanki  
 papierowe wycinanki — —

Lecz kiedy pierwsze padły krople dżdżu  
 i piorun zgrzytnął o krawędzie chmur  
 im przeciw wichrom iść zabrakło tchu —  
 Ostały gdzieś na drodze — —  
 Może je wicher poniósł w bór —  
 może je deszcz zmoczył srodze  
 i przylepił do błotnistej ziemi — —  
 Nie wiem — nie chodzę drogami wstecznymi — —

Zjawiły się na mej drodze,  
 którą sam zazwyczaj chodzę  
 dziwne twory: ichmościanki  
 papierowe wycinanki — —

## LUBIĘ

Lubię gdzieś w polach przy zbóż łąnach lec  
w poszumnych kłosów sennym rozhowerze —  
patrzeć na kwiaty rosnące wzdłuż miedz,  
na kołysane cichym wiatrem zboże —

Kwiecistą falą przelewa się len,  
łśni, by gwiazdami haftowane plusze — —  
Jakby korowód, gdzieś z mistycznych scen  
niebem w obłokach płyną białe dusze — —

Słońce pył złoty sieje w kłosy zbóż,  
na lilijowe dzwonki i bławaty  
i cisza święta idzie ziemią wzdłuż,  
błogosławiąca biednych ludzi chaty — —

Śni mi się wtedy, że miedzami pól,  
przez te zbóż łąny dalekie, bez końca  
przyjdiesz ty ku mnie — ukoisz mój ból  
i poprowadzisz do krainy słońca — —

## KRÓLEWNO RI

Królewno Ri — królewno Ri  
 wśród złotych łąń cię brak,  
 w których kwitnęłaś kolorem krwi,  
 jakby szkarłatny mak —  
 jakby płomienny mak w złocistym łąnie  
 rozkołysanych zbóż —  
 jak najcudniejsze, jasne miłowanie  
 wiosnianych dusz — —

Przyszłaś królewno w me ciche ustronie  
 miedzą, wśród łąń bez końca,  
 w pszeniczne kłosy chyląc białe dłonie,  
 jak w złote morze fal słońca —  
 Nad złotej fali rozszumiała pianą  
 w kręgach srebrzystych ech  
 płynął i płynął kaskadą wezbraną  
 szczery, dziecinny śmiech — —

W poszumie kłosów jeszcze słyszę echa  
 twojego śmiechu o Ri,  
 choć się przez kłosy Faun do mnie uśmiecha  
 i oczywiście drwi — —

Królewno Ri — kólewno Ri  
 wśród złotych łąń cię brak,  
 w których kwitnęłaś kolorem krwi,  
 jakby szkarłatny mak —  
 jakby płomienny mak w złocistym łąnie  
 rozkołysanych zbóż —  
 jak najcudniejsze, jasne miłowanie  
 wiosnianych dusz — —

## NIE WIEM DLACZEGO — —

Nie wiem dlaczego pierś wzbiera mi łzami,  
kiedy spoglądnę w ócz twoich błękity — —  
Coś jest, co lata, niby kruk nad nami,  
czarny, żalobny i żeru niesyty —  
coś jest, co dziobem do mózgu się wwierca —  
co krzywym szponem szarpie nasze serca — —

Nie wiem dlaczego chciałbym wziąć twe ręce  
i ucałować w milczeniu i skrusze — —  
Zdałoby mi się, że je w łzach uświęcę  
i przebaczenie od ciebie wymuszę —  
że te łzy tobie za wszystko zapłacą — —  
Chciałbym przeproszać, a sam nie wiem za co — —

Nie wiem dlaczego chciałbym paść przed ciebie  
i ucałować choćby stóp twych ślady — —  
łkać, łkać, jak gdyby na szczęścia pogrzebie,  
ażby się gwiazdne wzruszyły plejady —  
łkać, jak ci ludzie, co wszystko utracą,  
Chciałbym przeproszać, a sam nie wiem za co — —

Nie wiem dlaczego pierś wzbiera mi łzami — —

## RĘCE

Twe ręce są tak białe, jak lotosu kwiaty,  
rozkwitłe pośród świętych, niezmaconych wód  
i przejrzyste, jak promień miesięcznej poświaty — —

Jak alabastrowy żywy cud  
są twe ręce dziewczyno — —  
Są, jak węże z ołtarzów wieszczbiarzy —  
Trzykroć szczęśliw ten, komu owina  
szyję — kogo pierś oplotą —  
ten, czyjej dotkną twarzy  
oblędną pieścizotą — —

Twe dłonie są, jak konchy perłowe,  
wydobyte z przepastnej głębokości mórz — —  
Trzykroć szczęśliw ten na czyją głowę  
złożysz je prześwietlone od słonecznych zórz — —

Twe dłonie są, jak święta misa jaspisowa,  
której króla Artusa rycerze szukali —  
a ty dziewczyno jesteś, jak zorzy królowa,  
idąca o poranku przez łany konwalij —

Twe ręce są, jak węże, co śnią gdzieś w gontynie,  
węże, których jad słodki uśmierca — —

Hej! dziewczę — niech cudny ich splot mnie owinie —  
niech oplotą pierś moją — tu — tu — koło serca — —

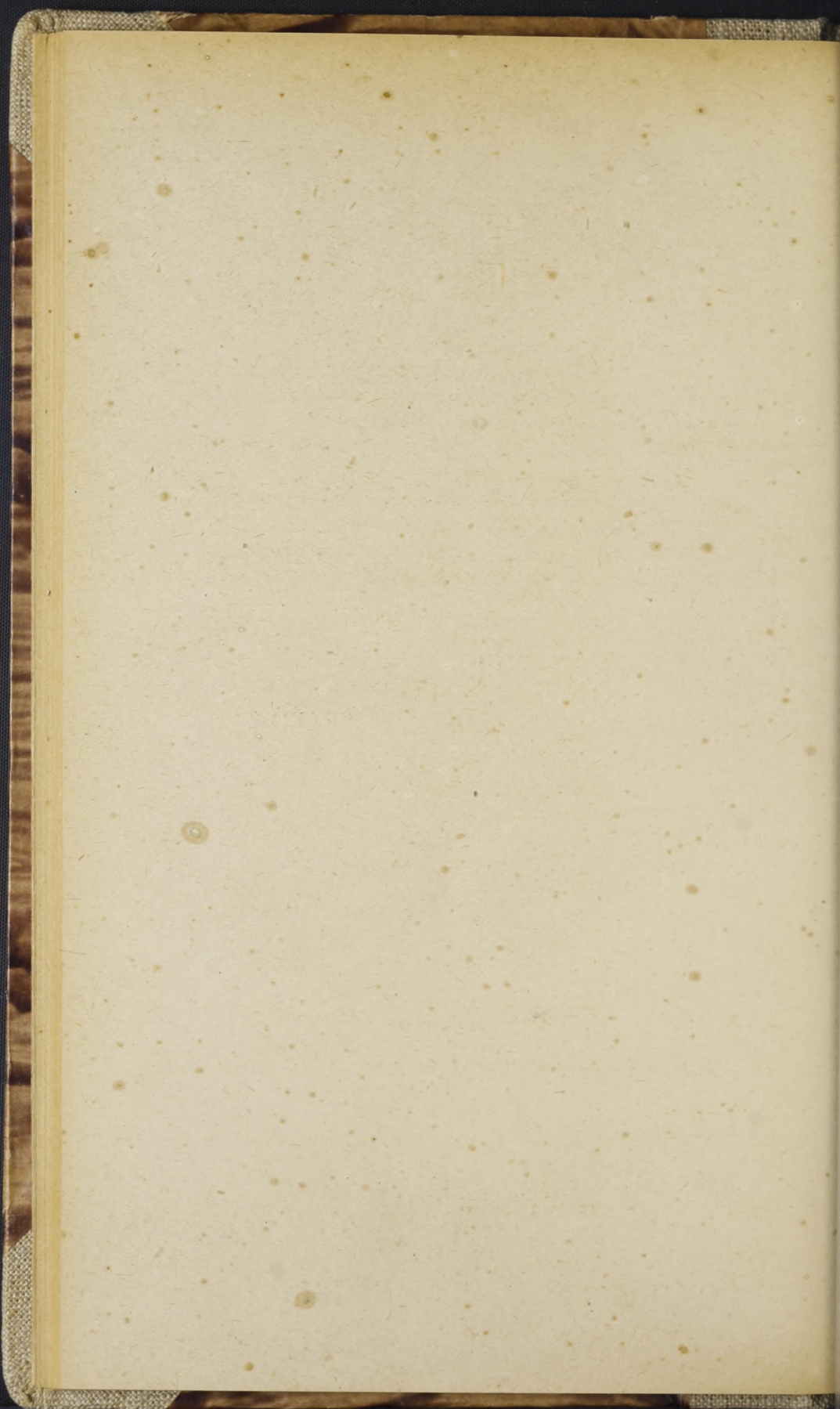
## WOLE

Wolę, by mi kwitnęły kwiatów całe łany,  
rzuconych w łono ziemi Bóg wie jeden skąd —  
niż, jeśliby mi w oknie kwiatek cieplarniany  
choćby najpiękniejszy powolutku wiął — —

Wolę iść kwietnym polem — i nie wiedzieć czyje —  
iść w rozłożony słońcem nieskończony świat,  
niż patrzeć, jak mi w oknie marnieje i gnije,  
choćby najpiękniejszy cieplarniany kwiat — —

III.

KRAKÓW





## W ARKADOWYM DZIEDZIŃCU WAWELSKIM

W arkadowy dziedziniec spojrzął księżyc blady:  
na strome dachy sypnął, jakby szronów szkliwo —  
z okapów wdół zesunął cienia smugę siwą  
w pół słupów, jakby z srebra kutej kolumnady —

Cisza — — Księżyc zaglądnął już do wszystkich szczelin —  
spełził wolno po kolumnach okręconych w kwiaty:  
w szkarłat łoży królewskiej spłynął pył poświaty  
na godła — na zwieszony z krużganku gobelin — —

Raz, dwa — — biją zegary — — Północ — — Na krużganek  
wszedł król, dwór i królowa w gronie kasztelanek — —  
gawiedzi pełno — — Księżyc przystanął na stropie — —

Dano znak — — W czarnych zbrojach od wjazdowych wrót  
wjechali na dziedziniec dwaj woje okrutni  
i ku piersi swej długie pochyliłi kopje — —

## POD BASZTĄ SENATORSKĄ

(gdzie ścięto Samuela Zborowskiego)

Oćma nocna nad Zamkiem — luty a swarliwy  
wicher po basztach gwizdże, by chichoty biesie — —  
zaświst burzy okłęby chmur nad światem niesie,  
u wierzchołów baszt wiesza, niby czarne grzywy — —

W jasnych blaskach mignęła błyskawica złota,  
oświetlając szkarp zbocza i warowne mury —  
wreszcie piorun drgnął w chmurze: jak krwawy wąż z góry  
runął w basztę i echem po dachach łomota — —

Szczękły kaźni wrzeczadze i w pochodni łunie  
Samuelów zwid kroczy w śmiertelnym całunie  
z czołem w górę — a buntem pierś mu się poszerza — —

Za nim kat z gołym mieczem — straż zbrojna w berdysze —  
a za zwidem, co na śmierć idzie w groźnej pysze  
sunie z posepnem licem cień sędzi-Kanclerza — —

## ZYGMUNT AUGUST

(z kaplicy Zygmuntowskiej)

W marmur zastygłeś zimny — Wpodłuż rozciągnięty  
ległeś, jakby włodarstwem unużon nadmiernie,  
jakbyś osunął z czoła z koroną jej ciernie —  
z czoła, na którym widne zaduma a smęty — —

W zbroicy ległeś — — u nóg porzucony szołom —  
pancerz pierś ci zacieśnia, dławi naszyjnika — —  
Berło, którym hetmanisz dziś mogił popiołom  
osuw się z twej dłoni, jak zgasła gromnica — —

Patrzysz kędyś w podniebia niewidne oddale — —  
Może wspominasz Unję, co bratnie narody  
sprzęgła wielką przysięgą — — Może w nieb bezmiary

ślesz swoje nieukoje, nieutulne żale — —  
Może zastygłem okiem ścigasz wiek swój młody  
i błądzący w zaświatach błądy cień Barbary — —

## NA SKALCE

(Figura biskupa Stanisława Szczepanowskiego)

Jesień — — Wiatery z drzew koron zżółkłe liście szarpie:  
 lecą w wodę sadzawki szelestną gromadą —  
 jakby martwe motyle leciuchno się kładą  
 na toń, w której pływają w słońcu złote karpie — —

Stanałeś wśród sadzawki kamienny biskupie,  
 dzierżąc mchem przyprószoną księgę i pastorał — —  
 Ku licom, co je wieków deszcz głęboko zorał  
 Piotrowin wznosi z dołu swoje oczy trupie — —

Chyli się tu przed tobą — ty kneziu w infule  
 lechickie całe plemię — chylili i króle,  
 kiedy w zbrojach mocarni przed tobą stanęli — —

A ten wieczny talizman nieśmiertelnej chwały  
 skreślił ci w błyskach miecza ów władcy Śmiały,  
 co pomarł gdzieś wygnańcem w ossyjackiej celi — —

## U SREBRNEJ TRUNY STANISŁAWOWEJ

Omrok wszedł w chram: w posępne katedry zacienia  
 sączy się poblask zmierzchu wdół przez szyby bławe —  
 ostatni promień słońca trysnął w główną nawę  
 i szczyt krzyża w ołtarzu nimbem opłomienia — —

Ponad Stanisławową truną poczerniała,  
 która barki aniołów przyłacza ku ziemi  
 gasnącej lampki nikłe światelko pełgało,  
 migocąc w srebrnej trunie poblaski krwawemi — —

Drgnęło trumienne wieko — — uniosło się w górę — —  
 trupia głowa się dźwiga i lico ponure:  
 to z łoża śmierci wstaje Stanisławów zwid — —

Oczodołami patrzy, choć bez źrenic — ślepy — —  
 Wznosi rękę, do której przyschły krwi okrzepy  
 i woła z pustej piersi: anathema sit — —

## BÓG - TWORZYCIEL

(Witraż Wyspiańskiego w kościele Franciszkanów)

Pod blask złotego słońca, w witrażu kościoła  
Franciszkanów zakłęto Ciebie o Jehowo:  
wszechmocne wzniosłeś ramię nad sędziwą głową —  
twórcza moc światłem bije z promiennego czoła — —

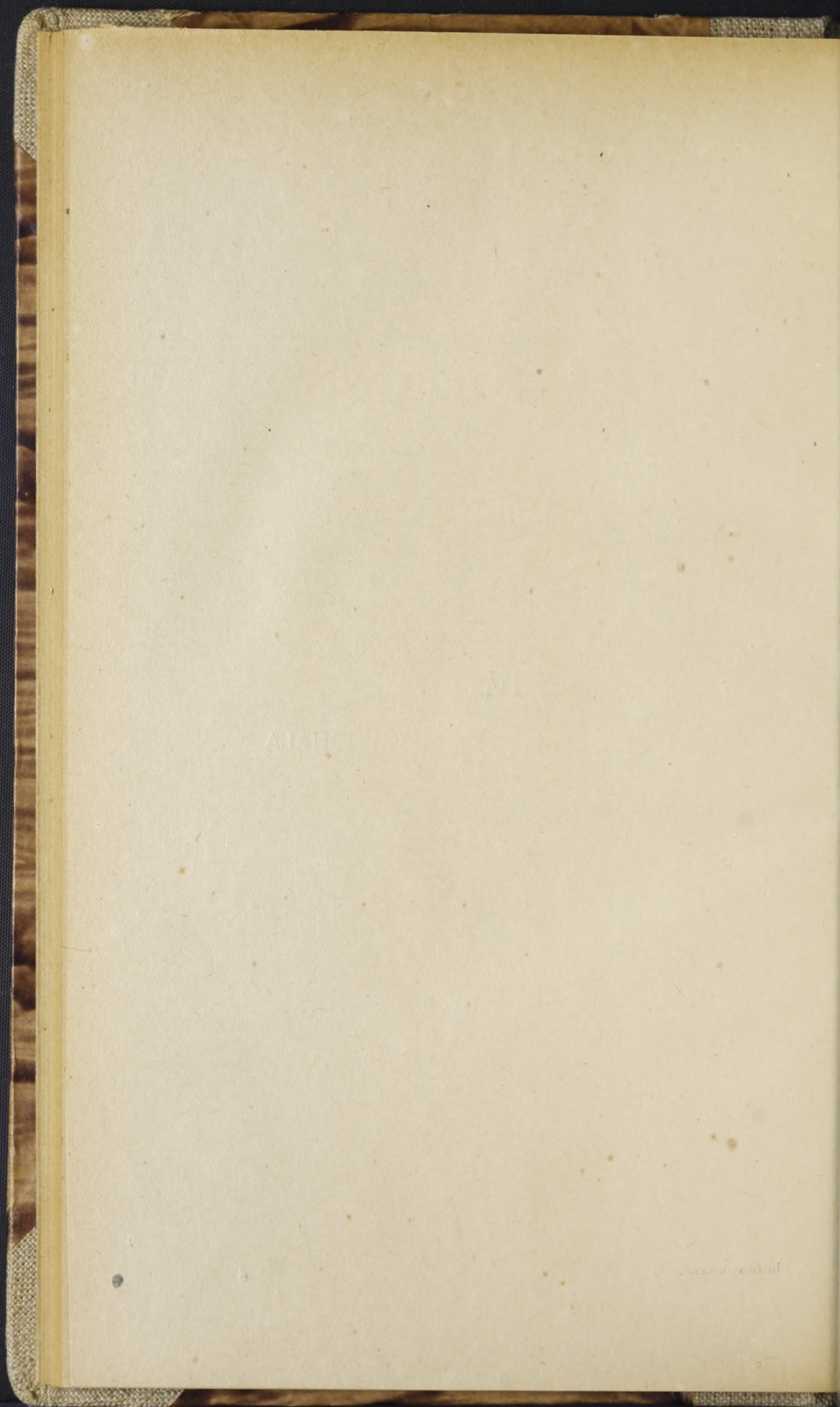
Idziesz w snopie płomieni przez wodne odmęty,  
srebrnych włosów potoki na piersi twe płyną — —  
idziesz Mocą i Światłem nad mroczną głębiną  
Ty, po trzykroć wszechmocny i po trzykroć święty — —

W mrowiu ludzkim przepływał wóz czarny, wysoki,  
unosząc Twego twórcę we wieczności mroki  
w żalnych śpiewach i wieńcach do mogilnych progów — —

Tyś spojrział pewnie wtedy ku tej marnej trunie  
tego, co Ciebie zaklął w słonecznym piorunie,  
a sam w proch się rozsypał on człek — twórca Bogów —

IV.

Z PODHAŁA





## GIEWONT

Na wezłowie z atlasów z srebrnych mgieł utkanem  
leżł mocarz, skamieniały w śmierci majestacie — —  
srebrem skrzy mu się pancierz w miesięcznej poświacie,  
przykryty nawpół śniegów śmiertelnym łachmanem — —

Bóg rozpiął nad nim szyte gwiazdami namioty  
i bladą lampę nocy zawiesił u czoła —  
a za stróża postawił milczenia anioła,  
by mógł rycerz spokojnie marzyć sen swój złoty — —

Hej! rycerzu — gdyby móc w twą pierś granitową  
tchnąć życie — byś zmartwychwstał i świata połową  
zatrząś, wsparłszy o ziemię mocarną prawicę — —

Żebyś przeszedł wszere i wzdłuż piastowskie rubieże  
i nie wrócił tu pierwaj na mogilne leże,  
aż odmierzysz swą stopą nam wieczne granice — —

## TATRY W POKRWAWIE SŁOŃCA

Wirchy Tatr płoną w chmurach, jak główne pochodni  
i od nich złotym rąbkiem tłą się chmur obrzeża — —  
Turnie Tatr płoną w chmurach, jakby hełm rycerza,  
w którym purpurową łuną gra pobrzask zachodni — —

Skrzesane granie płoną, by ognie ołtarzy,  
dźwigniętych w niebo ponad mgielne uroczyska,  
skąd rozżagwione płomień w strop niebiosów tryska,  
gdzie krwią sycony ogień ofiarny się żarzy — —

Płoną w słońca pokrwawie Tatr podniebne skały — —  
by zniczowe ołtarze krwawo rozgorzały,  
jakiemuś bogu paląc daninę ofiarną — —

Zda się, że w ich płomieniach krew człowiecza gorze,  
bo się ognie na niebne przenoszą przestworze  
i w swym buncie wnet Boga dworzyszczce ogarną — —

---

## TATRY W MGLACH WIECZORU

W mgieł topieli brną Tatry, jak hufiec rycerzy  
posępnych, zakowanych w zbroic ciemne blachy —  
na ich piersiach lśnią śniegi, jak srebrne ryngrafy —  
z chmur nad nimi las skrzydeł husarskich się jeży —

Staneły tam u granic granitową ławą,  
by pancerna chorągiew w proporców wicherze —  
białe orły nad nimi kołyszą się w górze  
a szyszaki ich w słońcu połyskują krwawo — —

Stoją ciche, jak hufiec rycerny przed bitwą  
w pochyleniu głów — z wielką na ustach modlitwą,  
co w łopocie proporców do nieba się wzbija — —

A modlitwę szeptaną przez usta kamienne  
wicher zmienia na dzwonów wieczornych nowennę,  
niosąc po krańce świata — wdał: Ave Ma-ri-a — —

## NAD MORSKIEM OKIEM

### I.

Najbliższy wirch, promieniem zachodu draśnięty  
stoi, by przyprószony słoneczną pozłotą —  
zda się, że ten pył słońca z turni wichry zmiotą  
i zesypią we wodne, szerniałe odmęty — —

Ten głaz wprost lśni pod niebem, jakby tarcza z miedzi  
czerwonej, nabijana złotymi guzami,  
a te turnie dokoła wzniesione nad nami,  
jakby ta kapituła, co w fioletach siedzi — —

Ścieżyną po upłazach przez kosodrzewiny  
w złotym poblasku owce idą w długim sznurze,  
jakby ktoś rozerwany różaniec po górze  
ciągnął — różaniec, w którym lśnią jasne bursztyny — —

Cichy brzęk dzwonek leci nad wodnym zwierciadłem —  
ciemne limby szeptają wieczorne pacierze — —  
Wiatr cichnie: na swe skrzydła mgły srebrzyste bierze  
i rozciąga je wolno po niebie pobladłem — —

Wreszcie milknie, padając na uśpione fale  
tchem ostatnim, jak ten ptak śmiertelnie raniony,  
co jeszcze trzepie skrzydłem i zesuwa szpony,  
ale już mu mętnieją ócz krwawych korale — —

Cisza — turnie pobladły — toń wód wygładzona —  
Jakaś wielka martwota przywarła do ziemi — —  
Noc zakryła niebiosą skrzydły olbrzymiemi  
i rozciąga nad światem swe senne ramiona — —

Toń wodna, nieruchoma, tajemna i głucha  
schłonęła jeden więcej dzień w głębnej topieli,  
jak ros kroplę, co z piór swych strącają anieli,  
dzień — maleńkie ogniwo wieczności łańcucha — —

## II.

Turnie w poświacie stoją, jak z srebra wykute,  
zapatrzone w toń wodną, gładko wysrebrzoną,  
kędy w cichej topieli, złote gwiazdy toną,  
kędy wietrzyk ponosi jakąś smętną nutę —

Grając, płyną jeziorem w księżycowym świetle  
górale w białych guniach, by duchów gromada:  
jakąś dziką opowieść nuta rozpowiada — —  
tną smyki po skrzypicy i brzęczą basetle — —

Zbójeckiego to grają — struny smykiem sieką  
i płyną, płyną w srebrną poświatę daleką  
ku brzegom, gdzie się księżyc po upłazach wspina — —

Majaczą jeszcze zdala — łódź w toni się czerni — —  
płyną, jak na wyprawę towarzysze wierni,  
Janosikowa, jakby zbójnicka gromada — —

## SANNA

W bajce śniegowej  
po białym łanie  
mkną sanie  
jedną z szalonych jazd — —

Firmament rozsnął nad nasze głowy  
siatkę świetlistą z gwiazd —  
i gwiazdy lecą, lecą za nami — —  
Bokiem Tatr turnie,  
w mroźnym błękicie,  
jakby rycerze w królewskiej świcie  
lecą, lecą z gwiazdami  
szumnie, a górnice — —

W bajce śniegowej  
po białym łanie  
mkną sanie  
jedną z szalonych jazd — —

Cichych drzew całe w puchach konary,  
jak kobiet białe ramiona  
gdzieś wyciągnięte w szary  
świat  
wabią do siebie,  
ale drzew w srebrnych śniegach korona  
tylko się miga po gwiezdne niebie — —  
czasem gdzieś światła zabłysną chat — —

W bajce śniegowej  
po białym łanie  
mkną sanie  
jedną z szalonych jazd — —

Wszystko gdzieś leci —  
leci za nami

w zamieci  
gwiazd —  
Niebem i światem  
lecim saniami —  
tchnieniem skrzydlatem,  
jedną z szalonych jazd — —

Wszystko gdzieś leci — —  
tylko ty ze mną  
w gwiazdnej zamieci  
w oddal tajemną  
bajki śniegowej  
płyniesz przez biały puch — —  
w śniegach się srebrzą koni podkowy —  
pienią się grzywy  
a sanie mkną  
gdzieś w błękit siwy  
cicho, jak duch — —

Ty płyniesz ze mną  
przez białą błoń —  
w zasnutą srebrną mgłą  
oddal tajemną — —

Na skroni mojej czuję twą skroń  
i serca słyszę stuk — —  
Lecim saniami  
samiutcy — sami  
hen — na rozstaje dróg — —

## WIATR HALNY

Antkowi Zającowi

Ten ci to Zły, co mu na imię Wiatr — —  
 Ubrał się w kubrak jak na weselisko —  
 wziął się krzepko pod boki i od samych Tatr  
 leci, leci przez miedze — to siania się nisko —  
 to znów łeb kędzierzawy podnosi aż w chmury,  
 jeno w pędzie łopoce jego kubrak bury,  
 jeno mu się na piersi rozwarła koszula —  
 śwista, skacze,  
 przytupuje i hula — hula —  
 Pogwizduje se piosnki sobacze,  
 a tak sobie od ucha  
 w tupotaniu, rozmaszyście  
 tańczy, hula psiajucha — —

Podkrecił se ryży wąs —  
 ramionami mocno wstrząsł,  
 aż się z drzew sypnęły liście,  
 w zaszumieniu i poświście —  
 aż się złoty podniósł kurz  
 z ponad łąków, z ponad zbóż — —  
 A połami, jak zamiecie  
 na rozstajach pylnych dróg,  
 aże ćma się robi w świetle,  
 jakby sobie zasnął Bóg  
 na słonecznym swoim tronie — —

Zły się jeno wziął pod boki  
 i połami, jak nie wionie  
 kieby pierwszy mazurzysta  
 przytupuje, hula, śwista  
 i niesie się w świat szeroki:  
 hop, dziś, dziś — hop, dziś, dziś — hej, ha — —



I w kosmate tnie kopyta,  
 zboża zgniótl do cna —  
 potarasił srebrne żyta — —  
 Poprzez miedze, poprzez łany  
 leci, kieby był pijany —  
 sapie — dmucha —  
 pogwizduje se psiajucha —  
 i niesie się w lot  
 a szeroko, a zuchwale,  
 aże w tym pijanym szale  
 uwadził o płot  
 i zwałił się na owsiska —  
 Łbem gdzieś zarył w owsa wiechy —  
 kopytami w górze błyska —  
 ot tak sobie dla uciechy  
 dla ochoty — —

Zerwał się — przeskoczył płoty —  
 świsnął poprzez sad —  
 Schylił łeb swój kędzierzawy —  
 racie wparł we wiechcie trawy —  
 runął w ściany chat — —  
 Tęgie były rogi biesie,  
 bo aż drgnęły chat przyciesie,  
 aż się zatrząsł dach —  
 Jak se gwizdnął na kominie,  
 jak zaszumił w krzaczach —  
 jak dokoła ścian  
 po ziemniakach, po jarzynie  
 rozpoczął swój tan,  
 to się jeno wiechy strzech,  
 jak żydowskie trzęsły brody,  
 aże człeka, że to młody,  
 serdeczny brał śmiech — —

A czasami tak, jakgdyby  
 pazurami szczęknał w szyby —  
 w uchylone drzwi łomota,  
 do stodoły rozwarł wrota  
 i dostał się do klepiska — —

Z całego se gwizdnął pyska — —  
 tuman żytnich plew  
 wymiółł, wywiał gdzieś daleko  
 nad stajnię — nad chlew — —

Potem mrugnął hań powieką  
 na tę Biedę, co się kryje  
 na przednowku po stodole,  
 jak ci złapił ją za szyję,  
 jak rozpuścił swe gicole,  
 kilkuciska te włochate,  
 to ci Biedzie na pischczelu,  
 aż furczała brudna kiecka — —  
 (widział się na demokrate,  
 chociaż nosił się z szlachecka)

Hula, kieby na weselu  
 i od ściany, aż do ściany  
 leci w tańcu, jak pijany — —  
 tnie mazury, obertasy — —  
 Jak przystało na wesele  
 silną stawił se kapelę:  
 W szparach ścian dmą klarynety —  
 pod wrotami huczają basy —  
 gdzieś pod dachem skrzypce tną  
 zamaszystą nutę swą:  
 Hop, dziś, dziś — hejże ino do mazura  
 podajcież mi ręce która —  
 Hejże ino, hejże dalej —  
 tak hulają w jedną parę,  
 aże się stodoła wali —  
 aże trzeszczą dyle stare — —

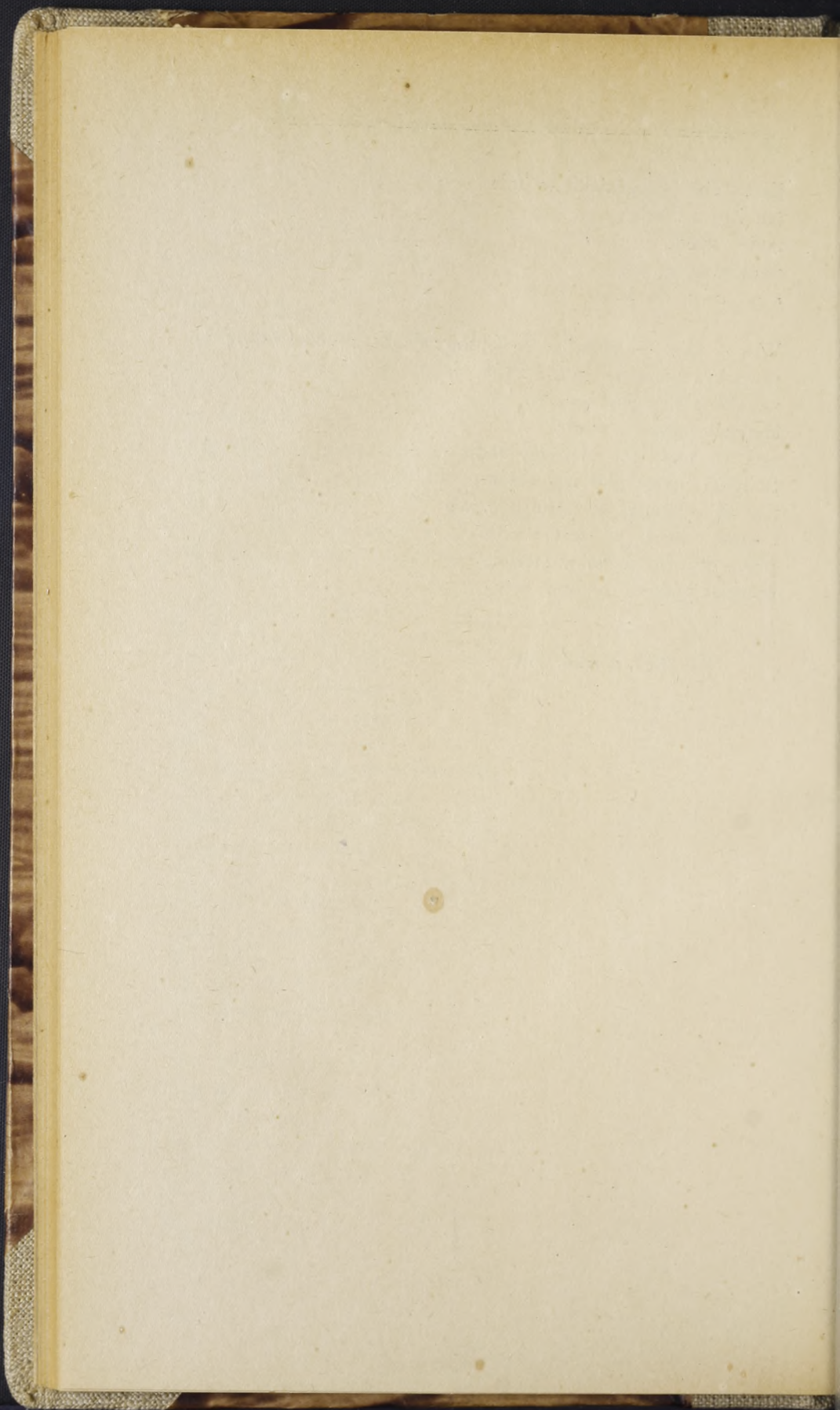
Bies Biedą zawija wkoło,  
 lecą na środek klepiska —  
 a z rozmachem, a wesoło —  
 on ją mocno w łapach ściska  
 i hołubca jak nie wytnie,  
 aż w wir poszły plewy żytnie,  
 co zostały gdzieś w stodole — —

---

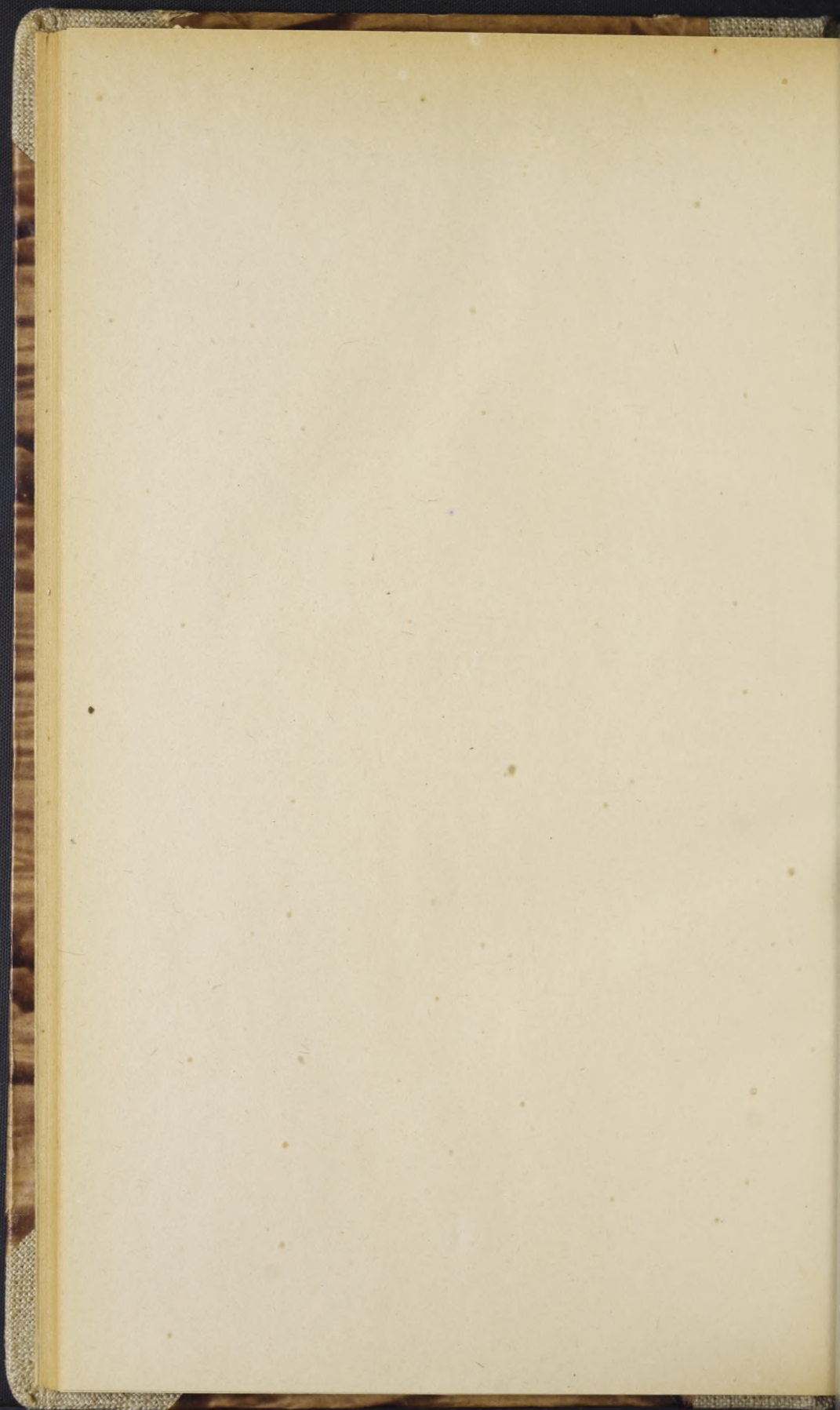
Kręcą się, jak wściekli w kole  
ten Zły z Biedą  
taniec wiedą —  
nieskończony tan,  
a od ścian do ścian — —

Wio — Wio — wiśta! — — Chłop zajechał przed stodołę —  
przywiózł pierwsze snopy zbóż —  
wszedł, a lica miał wesołe —  
spojrzał wszcz i wzdłuż  
gdzieby kłaść ten pierwszy snop — —  
Śmignął batem nad klepiskiem:  
Zły aż szczęknął w złości pyskiem  
i wraz z Biedą w szczere pole  
przez otwarte drzwi w stodole  
poleciał hop — — hop — —

Nowy Targ, sierpień 1919.



V.



## WITAJ O WIOSNO

Witaj, o Wiosno — Dziewico promienna,  
w modrościach niebios idąca z oddali  
poprzez uśpione jeszcze twoje lenna —  
idąca z zorzy, co się wiecznie pali  
u twego czoła blaski słonecznymi — —  
Witaj, o Wiosno, schodząca ku ziemi!

Idziesz spowita w swój płaszcz muślinowy,  
za którym kwiatów tren długi się wlecze —  
idziesz przez pola, przez głuche dąbrowy,  
poprzez tajemnych puszczy proste przesieczy  
i wszędzie dłoń twa szczerze kwiaty sieje  
po łąkach, miedzach, aż po chat wierzaje — —

Potrącasz wiewem porannym chojary  
borów odwiecznych — dębów zeschnięte liście — —  
I one szepczą swój pacierz prastary  
do ciebie, Wiosno, która wiekuiście  
powracasz ku nam w szkarłacie i złocie,  
w kwiatach i w rannym skowronków świegocie — —

Witaj, o Wiosno, co w serce człowieka  
siejesz promienie wieczystej młodości —  
ty snów człowieczych tęsknotę z prawieka  
Wiosno, idąca znowu ku nam wgości —  
Witaj, schodząca na ziemie swych lenna,  
Cóż słoneczna! — Dziewico promienna!

## POSZEPT ZBÓŻ

Kłosne łany w poszumie płyną, jak te fale  
złote — nieogarnione, wdal rozkołysane,  
ponosząc w łśni słonecznej, jakby srebrną pianę  
wód, w których maki płoną, by krwawe korale — —

Bławaty, gwiazdy niebnych błękitów odbite  
na dnie fal złotych błysną, gdy wiatr toń rozgarnie  
i znów fale wdal lecą poszumnie a gwarnie  
okiem nieogarnione — równe — jednolite — —

Idę często miedzami przez te zbożne łany  
rzeźki, wesół jak dziecko — w słońce roześmiany,  
a dokoła mnie szepta złotych kłosów rzesza — —

Przysięgłbym, że to jakiś ludzkich dusz obrońca —  
jakiś prorok gwiazd szczęścia — arcykapłan słońca  
szepem kłosów mą duszę ze smutków rozgrzesza — —



## SŁOŃCE

Ległem wśród żytnich snopów piersiami do nieba — —  
patrzę w górę, jak kłosa po niebios lazurze  
kołyszą się ciężarne w żrałe ziarna duże,  
w ziarna, w których kęs będzie powszedniego chleba — —

Po polach się szeroko świerszcze rozdzwoniły —  
powietrze drga nad rżyskiem w słonecznej kurzawie —  
żar słońca nawskrós ciała przepalił me prawie:  
serce w piersi łomota i tętnią me żyły — —

O słońce! wydzwignęłoś ty ziarna najlichsze  
w plon stokrotny, co puste wnet wypełni spichrze —  
szczerem złotem po brzegi zasypie sąsieki — —

Słońce! tyś w serce ludzkie wsiąło ziarno złote,  
jedno, jedyne ziarno — przed wiekiem: tęsknotę,  
a plony z niego zbierasz całe, całe wieki — —

## KAPŁAN

Na polanie, wśród puszczy, kędy chramu szczyty  
dawno ludzkim osiedlom legły za przyciesie —  
przez sad wieśniak stuletni, jakby kapłan święty  
ku pasiece rój pszczelny z dostojnością niesie — —

Dźwiga w drżących ramionach ogromne rzeszoto:  
pszczoły huczą i szumią w niem gromadą gwarną — —  
Starzec niesie w lśni słońca, by koronę złotą  
ku ulom, co skupione do chaty się garną — —

I tyle w nim kapłaństwa, namaszczenia tyle,  
jakgdyby szedł on jeden na wieków mogile  
stawić się poprzec Bogiem w ostatnim obrzędzie — —

jakby dźwigał przed Jego gromowładne lice  
kamienne, mojżeszowe, strzaskane tablice —  
mogiły starych światów, przekleństwo i sędzie — —

## DZIECI

Pod słońce, co z nad gór prawie  
słało promienie swoje  
przez miedzę, po rośnej trawie  
szło chłopskich dzieci dwoje — —

Za rączki się trzymały,  
idąc tak nieporadnie,  
że zda się chłopczyk ów mały  
w miedzy w zbóż łąn upadnie — —

Siostrzyczka rączką małą  
oczy od słońca chroni,  
wiedząc, że złote okienko  
zakryje środkiem dłoni — —

Chłopczyk miał krzywe nożęta —  
był umurdzany, bosi —  
koszula na nim rozpięta,  
na główce płowe włosy — —

Tak słodko na mnie spojrzęło  
tych chłopskich dzieci dwoje,  
że serce i duszę całą  
wzięły mi, jakby swoje — —

## WIEŚ W ŚNIEGACH

Idę przez wioskę głuchą  
późnym wieczorem sam — —  
Wiatr śnieżną zawieruchą  
zawija tu i tam — —

Wszystko dokoła tonie  
w śniegowych płatów mgłach, — —  
na oczy me i skronie  
srebrzysty prószy piach — —

Wiatr duje na zagładę  
przez bieluteńki świat —  
gdzieś tylko światło blade  
zabłyśnie z okien chat — —

Nie skręcam ja do chaty,  
gdzie blask ogniska lśni —  
wdal idę, w mgliste światy,  
choć tak samotnie mi — —

Choć światło chaty płonie  
we własnych moich łzach,  
choć w oczy me i skronie  
śniegowy sypie piach — —

Wiatr śnieżną zawieruchą  
do chat łomota bram — —  
Idę przez wioskę głuchą  
późnym wieczorem sam — —

## KREW

Czasem płomień przez ciało przeleci  
 tak nagle, niespodzianie — — nerwami poruszy:  
 w oczach się krwawa łuna pożogi roznieci,  
 serce uderza szeroko, rozgłośnie,  
 krew rusza z hukiem, jak lody na rzekach we wiosnie,  
 wali w skroniach, by dzwony w przedwieczornej głuszy,  
 przewala się w żyłach lawą,  
 sięga krtani — dławi — —  
 w oczach tęczowe oka pawi  
 tańczą, migają się krwawo — —  
 Ogień w węzowym oplocie  
 opasze piersi i pali — —  
 płomieniem liże  
 biodra i krzyże,  
 przetrawia ciało i sięga trzew — —

Fala po fali  
 na pierś się wali —  
 fal krwawych krocie:  
 pienia się, huczą, rwią —  
 bluzgają w lica krwią — —

Obłądną, cudną symfonię gra młoda krew,  
 szalona, wściekła krew — —

Wyciągasz wtedy dłonie w zachłannej tęsknocie  
 po to słoneczne, dziewczęce ciało,  
 co się już w mrokach pokoju rozwiało,  
 co przez jedną chwilę  
 w boskiej swej pysze —  
 różowe, w słonecznym pyle  
 skąpane zakołysze  
 się we mgłach woali  
 i w leniwem przegięciu przesunie się dalej  
 i w mrok rozplynie  
 w szarej, zmierzchowej godzinie — —

Ciało, cudniejsze tem, że nieosiągnione — —

## PIJ, ALE DO DNA

Pij, ale do dna ten płyn szczerozłoty!  
 Pij pełen jasnej, dziecinnej pustoty —  
 pij, a do syta!  
 Niechaj ci w dłoni rozprysnie się szkliwo,  
 a duch niech w oczach płonących zaświta  
 jasno, a żywo!

Niechaj śpią sobie zmarli i skostniali — —  
 W nas krew się burzy, żar życia się pali,  
 jak wulkan krwawo:  
 palą się jakieś wiekowe tęsknoty  
 za zjawą szczęścia — za nieścigłą sławą — —  
 Orle nam loty  
 we snach się marzą, hen pod słońcem samem — —  
 Chcemy rwać gwiazdy, targać ziemią całą  
 i niebios chramem — —

Pij, ale do dna ten płyn szczerozłoty,  
 by się szaleństwo w pierś twoją wessało  
 jadem tęsknoty!  
 Pij, ale do dna, bo może tam na dnie  
 złote okruchy znajdziesz własnej duszy,  
 jak w wódce gdańskiej,  
 co na ostatek od dna złotem prószy — —  
 Potem — kielich zdruzgocesz — — Niech i to przepadnie!  
 Ot — gest — gest pański — —

## PRZYCHODZĄ CZASEM

Przychodzą czasem godziny na człeka  
w samotne, długie noce,  
że, jak ten pielgrzym, co idzie zdaleka  
i co się długo z wichrami szamoce —  
pada znużony, w dłonie kryje lice  
i patrzy w swojej duszy tajemnice — —

To straszne głębie — — Patrzysz w toń bez końca,  
w tę niezgłębioną tajemnicę świata,  
nad którą myśl twa, jak mewa przelata  
smugami mroku i słońca — —

Po tej głębinie  
fala za falą płynie —  
fala za falą goni  
po nieskończonej toni —  
po oceanu bezkresie  
i myśl się gubi i rwie się,  
aż wreszcie, jak mewa zagnana wdal  
pada znużona na bezkres fal — —

I wtedy dusza człowieka  
w rytm wiekuisty się zmienia  
świętej symfonji milczenia — —

## MUZYKA

(Rapsod burzowy)

Alinie H.

Idzie potężna  
 w miarowym huku fali  
 o granitowe skały —  
 idzie gromów Muzyka, ta księżna  
 dusz — władna pani tęsknoty —  
 Świat cały  
 w gruzy się wali — —  
 Idzie ku brzegom — — ponure grzmoty  
 błyskawicowem skrzydłem miecie  
 z chmur wdół — —  
 z wirchowych czół  
 krzesze gromy,  
 a grad kamienny  
 z turni strącony,  
 by Boga gniew widomy  
 leci w przepaście Gehenny — —  
 Straszliwe biją dzwony  
 gdzieś pod niebios stropowem wiazaniem —  
 huczą — pękają w czerepy,  
 padają w morze — a na niem  
 tabun rumaków przerażeniem ślepy  
 o grzywach rozwianych na skały pędzi —  
 runął w granit —  
 załamał się i rozbił u brzeżnej krawędzi —

Morze chłonie strzaskane okręty — —  
 Poprzez gromy grzmi pieśń oceanid — —

Idzie Muzyka w akordach wód,  
 rozwarła skrzydła błyskawicowe:  
 wali się w gruzy niebieski gród  
 i świat — —



Wznosi gromem uwieńczoną głowę  
 w posępnej chmurze i idzie ku brzegom —  
 idzie, jak widmo tragedji i złego,  
 niesie majestat i klątwę Jehowy  
 i ból i gniew —  
 do ludzi mówi straszliwemi słowy,  
 piorunem sięga i serca i trzew — —

Padają na twarze  
 i oczy kryją —  
 czołgają się, jak raby przed wieków ołtarze,  
 kędy grom płomienną żmiją  
 przelata,  
 zapala gromnice,  
 kędy największa tajemnica świata,  
 Los chowa swe lice  
 na wieków wieki —  
 Wieje modlitwa do gromów do burz  
 i skarga na los wraży i kaleki —  
 dłoń porażone kryje oczy —  
 a czart, duchów znękanych i łowca i stróż  
 z basów organ huragan skał toczy  
 na rabie plemię,  
 by spodłone strachem głowy  
 i barki wbić w ziemię  
 na wieków wieki — —

#### Miarowy

rytm fali  
 o granitowe skały — —  
 Idzie potężna  
 gromów Muzyka — ta księżna  
 dusz — władna pani tęsknoty — —

## II.

(Kołysanka)

Wandzie L.

Przychodzi cicha we fal rozhoworze  
 z błękitnej dali — w uśmiechach poranka —  
 idzie we mgłach przejrzystych woali,  
 po szczytach fali —  
 idzie przez wielkie nieskończone morze  
 cudna muzyka — cicha kołysanka — —

Szată błękitną szeleści  
 i nuci tęskne piosenki —  
 jakoweś słowa bez treści,  
 odwiecznych melodyj dźwięki — —  
 Coś się śni,  
 jakby śpiew nad kołyską  
 za dawnych, dawnych dni — —  
 Coś się śni:  
 czyjeś oczy błękitne tak blisko,  
 oczy, jak nieba oddale —  
 za dawnych — dawnych dni — —

To kołysanką płaczą  
 ciche, miękkie fale:  
 jakieś żale i westchnienia  
 nad dolą tułaczą — —

Idzie sobie od niechcienia  
 cicha kołysanka  
 w modrościach poranka  
 przez ogromne morze  
 we fal rozhoworze:

W nieustannym płąsie  
 fale złotem skrzą się  
 do słońca się śmieją — —

Śnieżystą owieją  
w niebo lecą mewy — —

Cicha kołysanka  
nuci dawne śpiewy:  
tęsknotę kochanka  
i kochanki żale — —

Szeptają miękkie, płasające fale — —

Idzie wprost ku mnie i cudne ręce  
kładzie na skronie —  
ukojne dłonie dziewczęce — —

Graj mi kołysanko graj — —  
te łyżki to nic — to szczęsne łyżki — —  
Niechaj raz jeszcze zakwitnie mi maj  
choćby przez sny — choćby przez sny  
Graj mi kołysanko graj — —

Mów mi kołysanko, mów,  
że się ostał gdzieś daleko  
park kwitnących bzów — —  
nic to — nic, że łyżki mi cieką —  
długo drżały pod powieką — —  
Mów mi kołysanko, mów —

Graj mi kołysanko graj,  
że daleko za górami  
jest słoneczny maj —  
park kwitnących bzów,  
kędyśmy chodzili sami — —  
Mów mi kołysanko, mów — —

## ŁZY MILCZENIA

Mrok — w pokoju się kładą  
jakieś światłocienie —  
za oknem gaśnie dzień — —  
Naprzeciwko mnie usiadło milczenie — —  
Słyszę przez drzwi: ktoś gromką kaskadą  
kroków przez schody zbiegł,  
przeszedł się —

Cisza — za oknem prószy śnieg:  
ogromne płaty lecą wdół —  
wiatr je w taniec wirowych kół  
porwał i żenie  
mroczną ulicą — —

Naprzeciw usiadło milczenie — —  
Zwróciło ku mnie szare lico,  
wlepiło we mnie źrenice,  
jakby chciało z mej duszy  
wydrzeć najgłębszą tajemnicę — —  
Siedzi cicho, ani się nie ruszy,  
ani drgnie powieką,  
patrzy — — chwile się dłużą i wleką  
rok — dwa — całe wieki — —

Zmrużam powieki —  
nie mogę wytrzymać wejrzenia  
źrenice jego się żarzą  
wśród cienia,  
jak oczy hipnotyzera — —  
Przysuwa się szarą twarzą,  
nad stołem się rozpiera  
i patrzy swemi ślepiami  
do mego wnętrza — —

Oczy zachodzą mi łzami —  
 Nie wydrzesz ty tego z pod serca —  
 to tajemnica najświętsza!  
 Nie zdradzę — byłbym bluźnierca,  
 świętokradca — zbrodzień!  
 Tego nie zwierza się codzien  
 nawet samemu sobie — —

Patrzy — — podsunęło dłonie obie  
 pod brodę — na łokciach się wsparło — —  
 Twarz szarą, jak maska — umarłą  
 przysuwa coraz bliżej — —  
 Patrzy — Głowa na pierś się niży,  
 po twarzy cieką łzy —  
 Znowu rok — dwa — całe wieki — —

Jakiś cień z za grobów daleki  
 stanął u drzwi  
 do mnie wyciąga ręce  
 cudne ramiona dziewczęce — —  
 Straszne — znowu przychodzi —

Milczenie chyłkiem, jak złodziej  
 zagląda w me źrenice  
 przez łzy — — Patrzy długo — nie bronię,  
 wsparło na mnie swe dłonie —  
 Patrzy — rok — dwa — całe wieki —  
 Pojęło tajemnicę —  
 spuściło wdół powieki  
 i przez twarz szarą łzy cieką,  
 łzy rozgrzeszenia — —

Gdzieś tam daleko, daleko  
 grób tajemnicę skrył — —

Cień odszedł w mrok, w śniegowy pył — —  
 Na serce cieką łzy milczenia — —

## DESZCZ

Deszcz się rozlał szeroko — daleko — —  
 chmury brudne zsunęły się wdół:  
 ponad miastem bez końca się wleka,  
 jakby tkacz-wiatr szare płótno w nieskończoność snuł — —

Mrok jakowys padł na duszę,  
 mrok zda się ten sam,  
 kiedyśmy szli w zawierusze —  
 w tej szarudze bezlitosnej  
 popołudniem wczesnej wiosny  
 do cmentarnych bram — —

Szliśmy długim szeregiem a tłumnie,  
 towarzysząc czarnej trumnie:  
 umarł, jakiś narodu trzeciorzędny wieszcz — —  
 Szliśmy razem — — Pamiętasz  
 tę drogę daleką na cmentarz? — —  
 Wtedy także lał strumieniem deszcz — —

Pamiętasz — — kiedyśmy już opuścili miasto,  
 tę aleję błotnistą, gliniastą,  
 tę aleję nieskończenie długą,  
 nasiąkniętą wskrós mglistą szarugą —  
 tę aleję nagich, smutnych drzew?

W mieście jeszcze były mnogie dzwony — —  
 Czy pamiętasz ten we mgłach stłumiony  
 ten bezgranicznie smutny pogrzebowy śpiew?

Wtedy także schmurzone niebios  
 nisko opadły nad ziemię — —  
 Wichur luty dżdżem siekał zukosa  
 na ten tłum — na to ludzkie plemię,  
 co za trumną szło cicho, powoli,  
 z tą ostatnią na ziemi przysługą  
 drzew aleją nieskończenie długą,  
 tą ostateczną drogą człowieczej niedoli — —

Szli mężczyźni na czarno ubrani —  
 w białych komzach przed wozem kapłani

szli tak wolno przez gliniaste błota,  
a z chmur brudnych ściekał, jak z rzeszota  
deszcz — —

Przyszliśmy w pewnej chwili aż pod czarny wóz,  
który ubrany w wieńce czarną trumnę wiozł:  
w ciężkiej żałobie szło osób kilkoro  
jak zwykle — —

(ludzie się wtedy pod ramiona biorą,  
głowę spuszcza ją wdół —)  
Widziałem jak po sprychach karawanu kół  
ciekło gliniaste błoto — —

Szliśmy długo w cmentarne wierzeje,  
przez drzew nagich rozmokłą aleję,  
sieczeni w twarz wichurą lodową i słotą — —

Wreszcie cmentarz: Trumnę złożono na mary —  
wieńce na trumnę — — jakiś pan stary  
żegnał ją mową — — Głowy odkryto —  
deszcz lał na tę głów gromadę zbitą,  
ściekał po wieku trumny przez wieńce, przez wstęgi,  
na których w złote litery  
złożono ostatnie miłości przysięgi — —

Jakiś smutek, jakowys żal szczerzy  
na duszę się kładł,  
ten smutek, co w ostatniej przysłudze  
szedł za trumną w wicherze i szarudze  
poprzez mglisty, omroczony świat — —

Dziś deszcz się rozlał szeroko — daleko,  
chmury brudne zsunęły się wdół:  
ponad miastem bez końca się wleka,  
jakby tkacz-wiatr szare płótno w nieskończoność snuł — —

Mrok jakowys padł na duszę,  
mrok — zda się — ten sam  
kiedyśmy szli w zawierusze —  
w tej szarudze bezlitosnej,  
popołudniem wczesnej wiosny  
do cmentarnych bram — —

## NAD RUMOWISKIEM WIEKÓW

Na krużganku, skąd króle rycerne patrzyły  
na płynące u stóp ich wartkie czasu rzeki  
stałaś milcząca, cicha, niby anioł biały  
nad grobem, gdzie w gruz legły długie, długie wieki — —

Fala życia, jakgdyby już spłynęła tędy — —  
Została martwa otchłań łomem namulona,  
kędy płaczą się dziwne wiekowe legendy,  
skąd śmierć i zapomnienie wyciąga ramiona — —

Na zbutwiałych przyciesiach prastarej gontyny  
legł posąg Światowida zmurszały, umarły — —  
wszechmocny bóg przed wieki — dziś trup jeno siny:  
gromowładne mu lice stuleci dżdże starły — —

Stał ongiś na polanie w dębów rozhovorze —  
gędzbą były mu ciche złotych pszczół chorały —  
miodne plastry mu nieśli witeżne wielmoże  
i święte przed nim ognie kapłańskie pełgały — —

Legł w gruzach, mchem zarosły, zelżony i ślepy,  
zwalony na strzaskane łzawice i urny,  
na kryjące popioły gliniane czerepy —  
legł, jak bóg zapomniany ponury i chmurny — —

Na węglach gontyn stanął chram nowemu bogu,  
krzyż nad nim złoty błysnął u wieżyc pod chmurą — —  
Światowid legł, by stopień kamienny u progu  
poprzed mroczną świątynią, sklepioną ponuro — —

Runęły niebosiężne, strzeliste wieżyce,  
kamienne łomy krzyża dźwigają się z darni —  
pod gruzami znów drzemią nowe tajemnice,  
których strzegą puszczyki, stróżowie cmentarni — —



Zwalił się bóg gęślarzy, lnianowłosych kmiaci —  
na harfy padł, na urny, na ognisk popioły — —  
zwalił się bóg cesarów, bóg krwawych stuleci  
na korony, na berła, na świątyń przyczoły — —

Runął bóg, do którego modlitwy niesiono  
przez rozszumiałe lasy i pszczelne pasieki  
i ten chmurny na krzyżu z cierniową koroną,  
co w dział gromach i rzeziach milczał całe wieki — —

Stanęłaś nad przepaścią i gruzu i łomu,  
który trupami bogów od wieków się spiętrza —  
Pozostałaś nietknięta z stuleci rozgromu  
w tworzeniu życia wieków, ty — z bogów najświętsza — —

Tyś życia Tajemnica — bogów Rodzicielka —  
Ty, w której łonie drzemie przyszłość niezrodzona,  
wiekuistego życia tajń święta i wielka — —  
Błogosławion niech będzie owoc Twego łona — —

## RAPORT

Ceniom ś. p. Dr. Jana Jodłowskiego,  
kapitana wojsk polskich z r. 1863/4.

Zgasł — — Trumnę czarną i na trumnę liście  
z grosza jałmużny płacono — —

Odszedł w śmierć cicho, dumnie, uroczyście,  
jak szedł przez życie: z głową podniesioną — —  
I jeśli przed kim za mogilnym progiem  
pochylił głowę — to chyba przed Bogiem — —

Bo też pod martwą, stężałą powieką  
uniósł, pisany krwią dramat:  
drogę w zawiejach Sybiru daleką  
i widma carskich kazamat — —  
Więc, że ojczyźnie dług zapłacił krwawo  
patrząc wprost w słońce, jak orzeł miał prawo!

Poszedł do Boga i Jemu przedłożył  
długi swój raport jedną krwawą kartą — —  
przyjdzie, jak żołnierz przed majestat boży:  
rękę od kajdan do kości przeżartą  
wzniesie do czoła — —

Broń sprezentuje archanielska świta  
przed kapitanem — —

Bóg raport odczyta  
i pewnie z oczu łza mu spadnie gruba,  
jak wielki brylant na skrzydło cheruba — —

## W RUINACH

Wiesz: korowód my zawiedli — —  
 Znasz ów zamek pośród jedli,  
 co się sypie w gruz;  
 gdzie na wałach jeno płaczą  
 nad swą dolą, — nad sobaczą  
 widma białych brzóz — —

Ongiś tu, w godzinach pychy  
 szczerozłote wzniośł kielichy  
 pan okolnych pól  
 napohybel Jegomości — —  
 Posłał wici na swe włości  
 i — uląkł się król — —

Dziś się w trumnie w pył już sypie — —  
 Więc my na magnackiej stypie  
 wśród zmurszałych ścian,  
 gdzie spękane stoją wieże,  
 gdzie u sklepień nietoperze —  
 zawiedliśmy tan — —

Przecież nie mógł nas pokotem  
 słać wśród gruzów swym brzeszczotem  
 władca: trup i duch — —  
 dawno prześnił sen swój złoty,  
 zwinął w trumnę orle loty,  
 wiecznie zcichł i zgłuchł — —

Pod spękanem więc sklepieniem,  
 tajemniczym skryci cieniem  
 zawiedliśmy tan:  
 jak szum skrzydeł dźwięk gitary  
 wnikał cicho w półmrok szary,  
 błędził pośród ścian — —

Wiesz: tam słyszeć, jak tancerce  
 na twojej piersi bije serce  
 z pod jedwabnych chust — —  
 chłonać ciało rusałczane  
 i jak w świeżą, krwawą ranę  
 wpić się w pąk jej ust! — —

Tam, gdzie ona płąsa zwiewna,  
 jak cud — bajka, — jak królewna.  
 a tyś Rycerz-zwid — —  
 gdzie się wkoło cienie roją  
 i pancerną chrzęszczą zbroją,  
 dzwonią ostrzem dzid — —

Gdzie śni ona pośród ruin,  
 żeś jak Farys, jak beduin  
 za nią przegnał świat — —  
 gdzie się do was czar uśmiecha,  
 gdzie u sklepień wiszą echa  
 przepomnianych lat — —

Hej! — raz przeżyć dzień tak górnie,  
 jak ten, co w popiołów urnie  
 żył przed laty, — wpierw — —  
 czuć ów ducha wiew proroczy  
 i nie słyszeć jak nam toczy  
 własne serca czerw — —

Hej! — tam pląsać przy gitarze,  
 rozteńczone śnić miraże  
 u wiekowych bram!  
 Na magnackiej tańczyć stypie,  
 gdzie od wieków już się sypie  
 w gruz hetmański chram! — —

Przecież nie mógł nas pokotem  
 słać wśród gruzów swym brzeszczotem  
 władca: trup i duch — —  
 dawno prześnił sen swój złoty,  
 zwinął w trumnę orle loty, —  
 wiecznie zcichł i zgłuchł — — —

## POLONEZ

Hej! — z dział walić na wałach — uderzyć w fanfary! —  
 bić z armat wprost do nieba — niech się niebo wali! —  
 Niech Bóg wie, że w zamczysku wojewoda stary  
 poloneza rozpoczął w portretowej sali — —

Sto pochodni rozpalić! — Niech w nocnej omroce  
 wojewódzkie dworzyszcze w blaskach się ukaże:  
 w krwawej łunie spiż armat niechaj zamigoce,  
 iżby w przerazie chamskie kamieniały twarze — —

Bić z armat! — Niech król słyszy i niech ucha poda:  
 niechaj sen mu zaciszny skłóca nocne zjawy — —  
 Niech król wie, że w swym zamku polski wojewoda  
 poloneza rozpoczął — sto mil od Warszawy — —

Król?! — jakowys przybędą — szczeniátko książece — —  
 król, któremu tron oddać była moja wola,  
 niech pamięta, że go me stąd sięgają ręce  
 od Pól Dzikich — od stepów — od kresów Podola — —

Prowadzi poloneza: karmazyn kontusza,  
 jakby srodze się spławił w świeżej krwi rycernej —  
 a butą mu rozpiera pierś rogata dusza,  
 a w oczach grom migoce pychy niepomiernej — —

Portrety z góry patrzą: mocarne pradiady —  
 kanclerze — wojewody i polne hetmany,  
 jakoby się zebrały na walne narady — —  
 Szczerem złotem ram szczerze wymościły ściany — —

Ten w pancerzu, z buławą, z skrwawionym brzeszczotem,  
 któremu otulają barki skóry rysie  
 ruszył ku Dzikim Polom — nie wrócił zpowrotem — —  
 głowę jego w Stambule zatknięto na spisie — —

Tamtemu, co hetmańskie włodarstwo piastował  
 i w hufiach Zaporozem nie chadzał na marne  
 wróg chorągiew pancerną raz zwałił napował,  
 a hetman sam w step złożył kości relikwiarne — —

I tak jeden po drugim — witeźne wielmoże,  
też mnogiej, w złotych ramach antenatów świty  
siali krew swą i kości w dzikie Zaporozie  
po królewsku u kresów Rzeczypospolitej — —

Prowadzi poloneza wojewoda stary:  
dumą aż się zachłysta — aż go pycha dławi,  
bo oto ci z portretów zesli za nim w pary —  
ci kneziowie mocarni, bohaterzy krwawi — —

Poszumy chorągiewne, proporców łopoty  
z wichrami stepów grają w zwycięskiej fanfarze — —  
rozdzwonił się polonez gromowy a złoty,  
a on, on wojewoda idzie w pierwszej parze — —

W pochrzęście zbroic suną i w szubach z soboli,  
u kołpaków się chwieją górą czaple kity — —  
Cali w klejnotnych blasków skrzą się aureoli —  
a on, on w pierwszej parze — on pychy nie syty — —

Hej! — z dział walić na wałach i setki pochodni  
rozniecić wkrąg zamczyska! — Wina w roztruchany! —  
Z pańskiej łaski niech pija, niech się syca głodni! —  
niech od gromkich wiwatów drżą zamkowe ściany! — —

Niechaj dziw srogi zdejmie i króle i chamy:  
Strzaskać o głąz posadzki kryształne kielichy! — —

Przez próg grobu przechodzi wprost w niebieskie bramy  
on, polski wojewoda w polonezie pychy!

I musisz Ty mu Boże gotować przyjęcie —  
i w poczet honorowy wysłać huf anieli,  
boby zemstę na Tobie poprzysiągł brać święcie,  
w oczy by Ci żeleźcem błysnął karabeli!

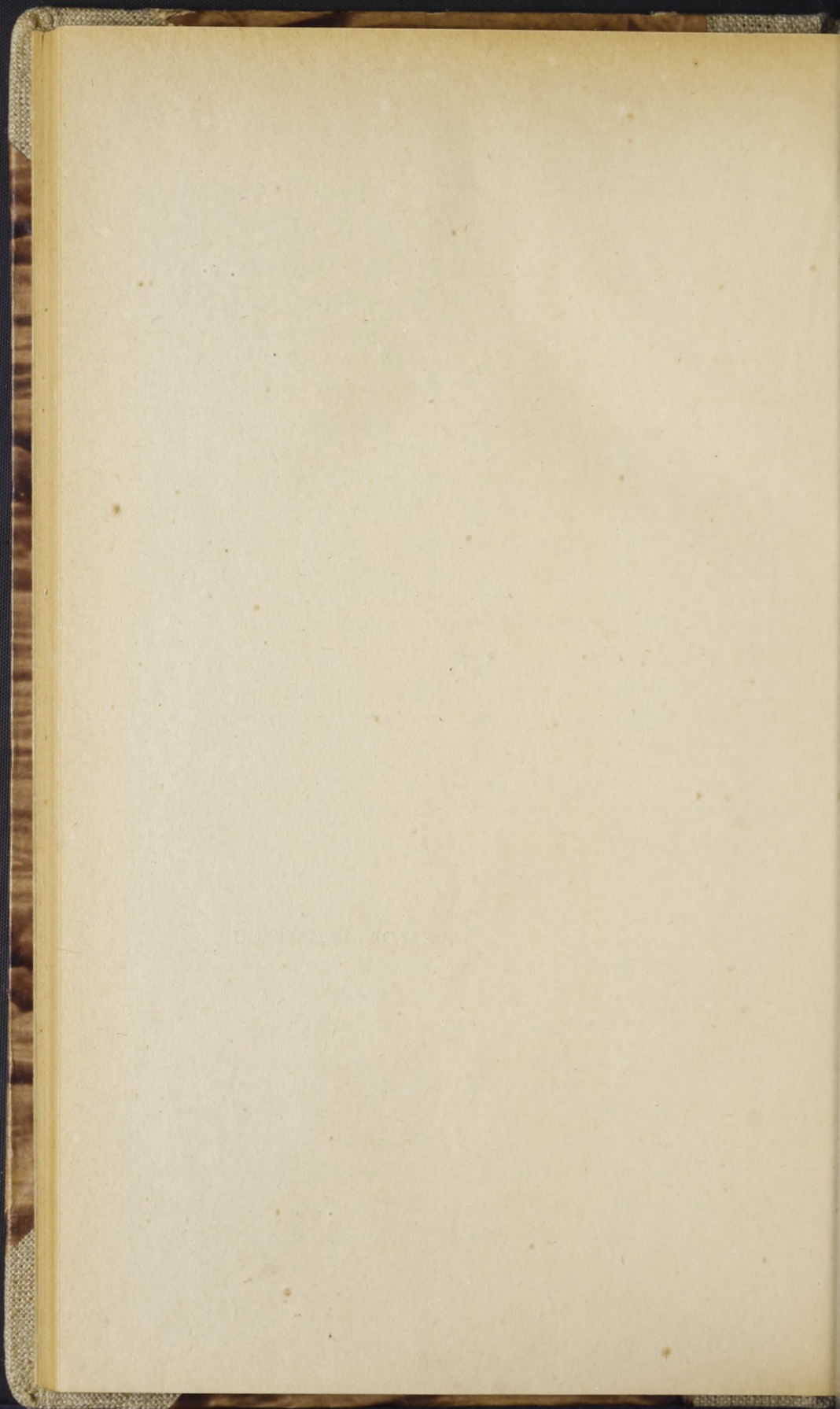
Boć przecie Panie Boże ogólnie wiadomem,  
(dałby Ci na to dowód krwawy a niezbity)  
że z jego łaski władasz tej ziemi ogromem  
na bezmiernych obszarach Rzeczypospolitej — —

Gdyby nie on — tczy Cię Turki i Tatary  
dawno stąd wykurzyli — w kraj świata przegnali! — —

Hej! — z dział walić! — W zamczysku wojewoda stary  
poloneza prowadzi w portretowej sali! — —

VI.

MICHAŁOWI MENASSEMU





## NOCĄ W POCIĄGU

Raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy — —  
 stukają pociągu koła — —

Noc późna — w wagonie ciemno —  
 za oknem złote lecą skry — —  
 Ludzie, których oddechy słyszę dokoła,  
 ci obcy ludzie gdzieś lecą ze mną —  
 ludzie z dalekich miast,  
 z nieznaných wsi —  
 każdy ze swemi myślami,  
 lecą pod niebem skrzących się gwiazd,  
 których miljon od wieków lśni —  
 lecą wraz ze mną — nic między nami  
 niema wspólnego, chyba cierpienie i zgon — —  
 to obcy ludzie z przeróżnych stron —  
 lecimy razem, aż ziemia drży  
 przez noc, przez pola, przez las,  
 a nic wspólnego nie łączy nas — —  
 za oknem iskier warkocz się skrzy —  
 raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy — —

Brodę oparłem na gałce laski,  
 patrzę przez szybę w świat:  
 kraj jakiś szary — rozległy — płaski,  
 mroczne sylwety chat —  
 telegraficzne migają słupy — —  
 blade światelko gdzieś wdali  
 w oknie się pali  
 jakiejś chałupy — —  
 Nuda — myśli się mącą  
 i kleją oczy — —

Gwizd — łomot — w lewo się chylę —  
 zwrotnice — — pociąg się toczy

wolniej — — Blask: ktoś ręką drżącą  
 płomień zapałki do papierosa  
 przytknął — — na szereg twarzy  
 światło zukosa  
 padło przez chwilę:  
 widziałem, jakby portrety  
 gdzieś z holenderskich sławnych malarzy — —

Za oknem lampy: małeńka stacja —  
 urzędnik — postać wiejskiej kobiety —  
 łoskot — znowu zwrotnice — —  
 (pospieszny mija —)

Noc — tamten swego ćmi papierosa:  
 blask padł na lice,  
 na koniec nosa —  
 w szybie się ogień tli, jak punkt krwawy — —  
 Gwiazdy, kraj szary, płaski, daleki  
 Nuda — — Nogi wyciągam z pod swojej ławy  
 prosto przed siebie — — zwieram powieki — —  
 czuję, jak pociąg od pędu drży:  
 raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy — —

## WCZESNE SŁOŃCE

To pierwsze słońce, co zmarzniętą ziemię  
 błotnistą maże powłoką,  
 co popołudniem wczesnej wiosny drzemie  
 i raz wraz mruży swe oko,  
 zmorzone nudą i ciszą  
 ma coś z uśmiechu rachitycznych dzieci,  
 które na krzywych nogach się kołyszą,  
 stojąc gromadką wśród brudu i śmieci  
 pod kamieniczną ścianą obtłuczoną — —

Podobnym blaskiem ich źrenice płoną  
 tak, jakoś przykro, niezdrowo — —  
 Stoją pod murem ściśniętą gromadą,  
 a wszystkie prawie z przechyloną głową  
 nadmiernie wielką, z twarzą nędzną, bladą —  
 usta do słońca w uśmiechu rozwarły — —

I ten śmiech przykry rachitycznych dzieci  
 śmiech suchotniczy, umarły  
 jest jak to słońce, co leniwie świeci  
 o wczesnej wiosnie w ciche popołudnie — —

## W ALEI

Wyszedłem sobie w aleje:  
 długie i proste, jak zwykle —  
 jeno liść zwolna żółknieje,  
 nad wodą powiędły wikle — —

Na spacer późna już pora —  
 mało tu trochę dziś ludzi — —  
 jesienny półmrok wieczora —  
 wiatr zimny dobrze już chłodzi,

szeleszcząc liściem po drodze — —  
 kołnierz podniosłem do góry,  
 wracam — powoli odchodzę —  
 w miasta powracam znów mury,

stukając końcem mej laski — —  
 Auto wzdłuż pędzi aleją:  
 mundury — srebrne opaski  
 na czapkach — głośno się śmieją — —

Przy drodze jeszcze ktoś siedzi —  
 inni wracają do miasta:  
 gromada głośnej gawiedzi —  
 to znów samotna niewiasta — —

Na ławce usiadł tu blisko,  
 kiedym przechodził akurat  
 (znane mi jakieś nazwisko)  
 siwy kościoła purpurat —

Drgała mu szczęka bezzębna,  
 a długie palce swe chude  
 po ławce puścił w takt bębna,  
 by zgłuszyć pustkę i nudę —

---

Pod stopy wiatr mu podwiewa  
powiędłych liści gromadę — —  
w pozólkę wlepił gdzieś drzewa  
bezmysłnie oczy swe blade —

Siedzi purpurat zgrzybiały  
w jesiennych wichrów poświście —  
lata mu długie zmarniały  
cicho — powoli, jak liście — —

Zwrócił na zachód twarz szarą,  
gdzie słońce dawno się skryło  
za mgieł jesiennych kotarą,  
gdzieś za Kościuszki mogiłą — —

## WIECZÓR JESIENNY

Mrok — mgły i światła we mgłach —  
 ulica pusta i długa — —  
 Jesień — — Nad światem wiszą,  
 niby mokry łąch  
 mgły i nieustanna szaruga — —  
 Ulica pusta — czasem  
 jeno tą pustką i ciszą  
 wlecze się tramwaj z hałasem —  
 dzwoniąc, hen jeszcze zdaleka  
 patrzy swem okiem czerwonym,  
 jak słońce w zachód, przed zgonem — —

Znowu ni człeka  
 jednego niema w ulicy — —  
 Lampy gazowe syczą — — na asfalcie  
 wilgny mści się smugi  
 światła — — Stuk obcasów: jakiś pan w palcie  
 z kołnierzem podniesionym w górę,  
 z rękoma w kieszeni — —  
 jacyś robotnicy —  
 jeden — drugi —  
 przeszli: sylwety ich bure  
 nikną w mgle — — cisza — — syk płomieni —  
 dokoła lamp tęczowe koliska — —

Ryk trąby — auto mknie z dali,  
 ślepiami błyska —  
 potoki światła śle  
 przed siebie — leci we mgle —  
 szyny w połysku stali,  
 jakby dwa martwe pioruny,  
 które przywarły do ziemi — —  
 świetlne łuny

rozpala olbrzymiami  
 ślepiami — — mija: czarny kadłub — sylwety —  
 czapki — mundury — srebrne epolety —  
 dźwięk rozmowy — słowa  
 stłumione w mgle — szum kół — —  
 Cicho — — znów syczy lampa gazowa — —

Mijam kawiarnię:  
 rojno i gwarnie  
 tam wewnątrz — w suficie  
 lampy ogromne — wdół  
 leją się światła strugi  
 na ludzkie mrowie — na gwar —  
 na nudę — na to codzienne życie — —

W samotne Planty wchodzę — —  
 ziemia wilgotna — kałuże — cień długi  
 pada przede mnie — — Na drodze  
 liście wdeptane w błoto —  
 z drzew je dziś wichur zdarł — —

Idę sam mrokiem i słotą — —  
 Z konarów drzew krople deszczowe,  
 nabrzmiałe padają w ziemię głucho — —  
 W ramiona wtulam głowę — —  
 Wiatr spadł na drzew wierzchoły  
 jesienną zawieruchą  
 i dudni, jak organ  
 na żalobnej mszy — —  
 krzak bzu odarty, goły  
 tuli się do klasztornej ściany — —  
 Deszcz w świetle lampy mży — —

Pusto — — mrokiem i słotą  
 w jesiennej mgle  
 idę — sam nie wiem gdzie — —

O tęsknoto — tęsknoto — —

## ASTER

Gdzieś — na jakiejś stacji maleńkiej  
 wsiadłaś — poznałem w mroku:  
 (uścisk drobnej ręki  
 w rękawiczkę opiętej — —)  
 Stanęliśmy z boku,  
 przy oknie — — Pociąg gnał w odmęty  
 mgieł jesiennych, rozlanych szeroko,  
 daleko po równi nadwiślańskiej — —  
 Księżyc, co z szczytu nieba, jakby ów stróż pański  
 patrzył w świat, swoje wielkie wytrzeszczając oko:  
 przesuwał po twojej twarzy  
 raz wraz srebrne poblaski — —  
 (wierny stróż, co nocą z pańskiej łaski  
 spichlerzem światła włodarzy — —)

Trzymałaś w ręku  
 astrów jesiennych pęk duży,  
 a w pęku  
 tkwił zwiędły jeden kwiat róży — —  
 Mówiliśmy o naszej  
 tatrzańskiej wyprawie —  
 o podeszwach kamaszy,  
 zdartych przy Zmarzłym Stawie —  
 o deszczu, co nas zmoczył gdzieś na mglistej hali —  
 różniliśmy rzeczy przypominali,  
 a pociąg pędził w jesiennym mgle  
 ku miastu — — Lasy we mgłach stały,  
 jakby w całun biały  
 spowite — na bladym tle  
 niebios gwiazd krocie — —  
 stuk kół i twoje  
 słowa płynne, jak muzyka — —



W dali, w łunie, w lamp migocie  
Kraków — —

Wpomnieliśmy chwilę,  
co była i znika  
w przeszłości pyle — —

Wziąłem z pęku astrów, z twych rąk jeden kwiat — —

Miasto — — Ty weszłaś w jedną z mrocznych bram:  
stróż otworzył (w koszuli, z lampą okopconą) — —

Wróciłem jak codzien zwykłą stroną —  
siedzę teraz w pokoju sam:  
Kwiat tkwi jeszcze w butonierce  
i więdnie, jak wspomnienia lat  
dawnych — —

O serce — serce — —

## AUTO GNAŁO ULICĄ

Auto gnało ulicą:

Wóz wielki, czerwony  
 kolebał się w resorach, tnąc wodne kałuże —  
 znaprzeciwka gnał ku mnie —  
 ryczał, jak opętaniec, pluł błotem na strony —  
 (przechodnie do bram uciekali tłumnie)  
 słońce mu grało w ślepiach zagasłych latarni — —

Nad kierownicą siedział młody człek w mundurze —  
 przez szkła patrzył na boki, gdzie przechodnie marni  
 chronili się do bram — —  
 uśmiechał się złośliwie —  
 przerzucił na wielką przenośnię — —  
 (jakiś cham —  
 wcale się nie dziwię — —)  
 Motor zahuczał rozgłośnie — —

Wpadłem w sień — — Jakiś psiuk  
 wyrwał się z popod nóg,  
 za autem  
 w susach paru  
 skoczył nawskos trotuaru —  
 dopadł kół — chciał gryźć gwałtem —  
 szczekał — — Wysunął się zadużo —  
 nad jakąś kałużą  
 pośliznął — pod koło wpadł:  
 pisk — jeden — drugi — trzeci — —

(Auto gnało dalej w świat)

Pies wstał cały błotem  
 zwalany — skamlał, skarżył się, jak dzieci —  
 przewrócił się znów — raz, drugi —

dowlókl się w uliczny ściek —  
skuczał coraz słabiej — potem  
padł, jak długi  
na grzbiet —  
drgnął parę razy i legł — —

Auto było het — het — het — —

(Żeby to jeszcze potentat jaki  
psiego rodu, jakiś buldog zły,  
co to dla władczej oznaki  
sierdziście szczyry kły,  
ale to psina wychudła, nieduża  
kamienicznego stróża — —)

## W TŁUMIE

Jeden krótki błysk światła latarni  
w głąb karety przez szyby kryształowe — —

Koło mnie dalej szli ludzie roześmiani, gwarni —  
ciebie uniosły rumaki wdał  
ale w tym błysku światła przez chwilę  
widziałem twoją, do szyb przytuloną głowę  
i twoje oczy — a w nich grozy tyle,  
że mi cię dziewczę tak serdecznie żał — —

Patrzyłaś swemi sarniemi oczyma  
w tłum, co się w jeden długi łańcuch sprzęgł  
i pełzył wolno, jak cielsko potwora-olbrzyma — —  
Patrzyłaś — i w twych oczach narodził się lęk  
i groza i strach — —

Oczy wilgne, jakgdyby zatopione w łzach —  
oczy twe sarnie  
mignęły mi, gdy powóz omijał latarnię,  
gdy blask światła, niby błyskawica  
musnął twe lica —  
zagrał na sprychach kół  
i zgasł — —

Nic przecie nie łączyło nas,  
a twój lęk głowę pochylił mi wdół —  
I niosłem, w piersi jakiś dziwny żal,  
idąc wśród tłumu wdał — —

Zrozumiałem twą grozę i strach:  
Ten tłum, co upiorem jawił się w twych snach,  
pełził teraz przed tobą żywy, zwartą ławą,

ten sam tłum-potwór, którego ręce  
po twoje łożę sięgały książęce,  
którego ślepie jarzą się krwawo  
u twego wezgłowia w śnie —  
ten sam tłum, którego lwie  
pazury sięgają piersi twojej —  
ten sam, który w kątach książęcych pokoi  
godziną szarą  
kryje się za ciężką kotarą —  
ten sam, który się czai  
w tym bezszelestnem stąpieniu lokai  
przez miękie, równo strzyżone dywany —  
ten, który wchodzi w pałacowe ściany,  
jak upiór, jak cień straszny błądy,  
cuchnący gnojem, jak stajenne chamy  
i wśród portretów, zdobnych w złote ramy  
kreśli sylaby zagłady — —  
ten sam tłum pełzył przed tobą gwarny,  
oddzielony jeno szybą kryształową — —  
Patrzyłaś weń oczyma przerażonej sarny  
i na ustach twych grozy wpół zamarło słowo  
i krew w głęb serca spłynęła z twej twarzy — —

Przecież mógł ten tłum wraży  
wydrzeć cię z twojej karocy —  
a tego tłumu prorocy  
na śmierć by cię skazali:  
rzuciliby cię pod stopy  
tej zwartej ludzkiej fali  
i przez twe piersi i łono  
przeszłyby chamy i chłopcy  
zgrają z uciechy szaloną —  
butami w proch by cię starli  
ci ludzie z gminu — ci karli —  
Alabastrowe twe łono  
i piersi śnieżne by zgniótł  
z uciechą wściekłą, szaloną  
skrzywiony chamski but,  
błękitną piłby twą krew  
i targał miazgę twych trzew — —

Podeszew gwoździe i ćwieki  
starłyby ciebie w piach — —  
Ten to przed tobą pełzył tłum, co w snach  
wyciągał do cię ręce daleki,  
co jak potworny koszmar we śnie  
krtań twoją dławił boleśnie — —

Oczy wilgne, jakgdyby zatopione w łzach,  
oczy twe sarnie  
mignęły mi, gdy powóz omijał latarnię,  
gdy blask światła, niby błyskawica  
musnął twe lica —  
zagrał na sprychach kół  
i zgasł — —

Nic przecie nie łączyło nas,  
a twój lęk głowę pochylił mi wdół —  
I niosłem w piersi jakiś dziwny żal,  
idąc wśród tłumu wdal — —

## ŚWIĘTO, WIELKIE ŚWIĘTO

Święto, wielkie święto — wielkanocne święto!  
 Wieczór — — w ulicach pusto — kawiarnie zamknięto — —  
 Święto, więc ludzie gdzieś się pewnie cieszą — —  
 (do kin, teatrów popłynęli rzeszą,  
 by zabić nudę — —)

Nie znoszę kina — — Powracam do siebie — —

Patrzę, jak drzew gałęzie chude  
 czernią się na jasnym niebie —  
 nazywam po imieniu gwiazd gromady — —  
 zmrużonym okiem patrzę w księżyc blade,  
 co się w połowie za kominem chowa — —

Pusto — — Jakiś inwalida kulą  
 drewnianą o kamienie stuka —  
 Jakaś staruszka (zapewne wdowa,  
 bo ją kiry tulą)  
 za rękę wiedzie wnuka,  
 ten się tak śmiesznie koło nóg jej pląta —  
 (ma takie krzywe, niezdarne nożęta)  
 zapewne senny, zmęczony — —

Dość wczesnie jeszcze — — dopiero dziesiąta:  
 biją rozgłośnie zegarowe dzwony,  
 ale naprawdę tak jakoś od święta — —

Wracam powoli — dziś mi się nie spieszy  
 (w dzień zwyczajny z reguły bardzo prędko chodzę)  
 Mijają mnie doróżki, tramwaje po drodze —  
 czasem (lecz bardzo rzadko) dopędza ktoś pieszy,  
 przechodzi — wolno w mroku ginie — —

Patrzę w okna: światło — tak jasno —  
 musi im być wesoło! (Zawsze błogosławię  
 radości życia!)

Sylwetka: panna przy pianinie —  
 zdaje mi się, że główkę ma jasną —

blondynka — — Pochyla się prawie  
 ku oknu — — wraca — gra:  
 (któryś tam nokturn Chopina)  
 marzycielka — —

Raz, dwa — raz, dwa — —  
 żołnierz wali obcasem w bruk  
 (zdaje mi się, że go jakaś wena  
 ponosi) idzie tak niefrasobliwie,  
 szeroko — — zwiotczały mu ścięgna nóg — —  
 Kropnął se ze dwa — — (wcale się nie dziwię,  
 wszak dziś wielkie święto — —  
 Że tam ma czapkę cośkolwiek wymiętą? — —)

idę wolno — — Na rogu, w świetle latarni  
 policjant samotny — (cień długi  
 pada od niego w tę stronę)  
 Dalej jacyś panowie elegancy, czarni  
 (jeden spokojny, laską wymachuje drugi)  
 stoją z jakąś dziewczyną (brwi ma uczernione —  
 wypudrowana — i ten kapelusz pstrokaty! —)

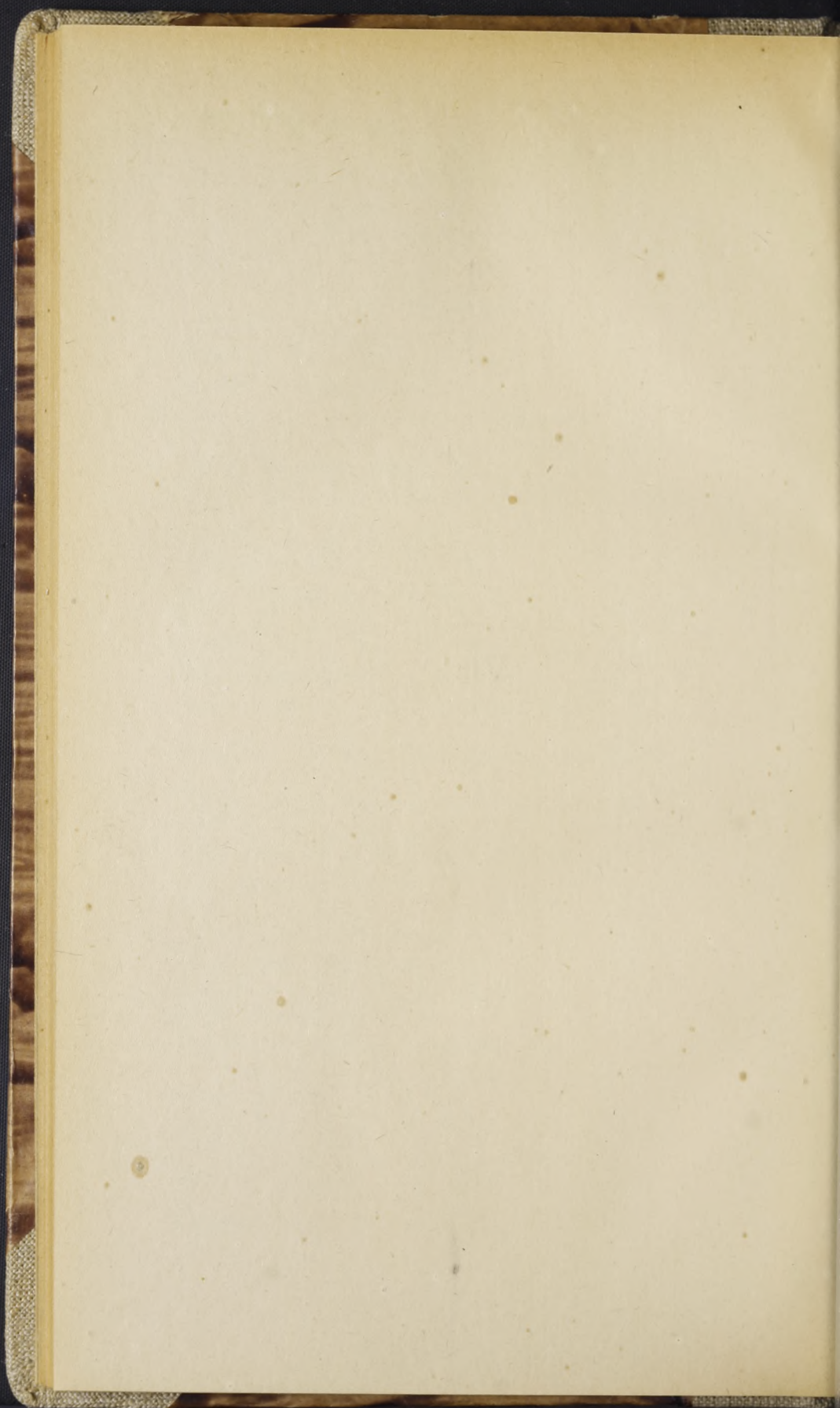
Idę dalej — — Błogosławię ludzkiej samotności:

Posyłam ciszę i wiarę serdeczną wam w gości  
 tobie inwalido o kuli drewnianej —  
 tobie staruszko, w żałobne obleczona szaty —  
 tobie chłopczyku sieroto,  
 znużony — zaspany — —  
 tobie przechodniu spóźniony —  
 i tobie nikła blada marzycielko,  
 co grywasz z zmysłową pieszczotą  
 smętne Chopina nokturny,  
 wcielając duszę w rozełkane tony — —  
 Ślę wam błogosławieństwo: wiary siłę wielką!  
 tobie wesoły żołnierzyku jurny —  
 tobie samotny stróżu ulic miasta —  
 tobie dziewczyno z czernionymi brwiami,  
 którą los, jak wiatr liściem po zaułkach szasta — —

Błogosławieństwo niech będzie nad wami!



VII.



## U ZAMKNIĘTYCH BRAM

Stanąłem przed gotycką świątynią zamkniętą —  
 stanąłem u żelazem okowanych drzwi  
 i wiem, że tam we wnętrzu jakieś duchów święto —  
 słyszę, jak od sklepienia Bóg swym głosem grzmi — —

Spojrzałem na strzeliste dwu wieżyc iglice,  
 co wsparły swe korony o niebieski gród —  
 łzami szczęścia zrosiłem dżdżem zsiekanie lice,  
 bom wreszcie do szukanych zakołatał wrót —

Wiem, że tam wnijscie jedno: przez te główne wrota —  
 i że muszę, do wnętrza rozewrzeć je sam —  
 i wiem, że świat kamieniem potępienia miota  
 w tych, co zbyt długo stoją u zamkniętych bram —

Przetom podniósł ramiona i z całą swą mocą  
 runąłem we świątyni tajemniczej drzwi,  
 z wiarą, że me ramiona te wrota zdruzgocą — —  
 Padłem — — a na żelazie ostał ślad mej krwi —

Bólu jeno łyzy duże na głąz się stoczyły,  
 a od sklepień świątyni grzmiał swym głosem Bóg,  
 On, który zasiadł stróżem u wieków mogiły —  
 On zrodzon z serc płomieni, z tęsknot i ze trwóg — —

Wstanę! — We drzwi uderzę piersią i otworzę — —  
 nie będę krwią swą mazał tajemniczych wrót,  
 ni patrzył łzawem okiem w konające zorze — —  
 Wnijdę, bo mi się w piersi pali Słońca cud!

## DO SŁOŃCA

Tak! druhu mój jedyny i serdeczny bracie — —  
 Stoimy na tonącej w odmętach fregacie,  
 która od kolumbowych powracała światów  
 ku starej ziemi — —  
 Jej bandera, co wiek już z promieniami złotymi  
 słońca igrała — od wichrów-piratów  
 podarta w strzępy chyli się ku fali — —

Na brzegach starej ziemi ludzie się zebrali:  
 cieszą się, wyją, klaszczą gromko w dłonie,  
 że na ich oczach w bełcie okręt tonie —  
 Upiór okrętu, więc przecie nie żal:  
 Śmierci symfonia są pieśni wracających fal — —

Fregata tonie: grzywa fal się spiętrza,  
 maszt liżąc wodne, zachłanne jęzory —  
 Z wód rozwartej gardzieli, od dna mórz, od wnętrza  
 wypływają na topiel wzburzoną  
 kumoszki śmierci: przerażenia zmory —  
 Zaglądają w oczy rapsodom  
 i siwobrodym bardom —  
 Tym źrenice płoną  
 szaleństwem i grozą:

Pokład fregaty pod wodą!!

Tamta zgraja od brzegów z pogardą  
 przekleństwa miota  
 i wyje — —

Hej! — przecież im fale przyniosą,  
 przecież do stóp podwiozą  
 fal grzywiaste bachmaty

dziadowskie lutnie ze szczerego złota,  
z zastygłą w perły na strunach łez rosą — —  
królewskie resztki rozbitej fregaty!

Pomylił się ten przybrzeżny tłum,  
jeśli sądził, że rapsodów wargi  
zawarły się na wieczne letargi —  
że z tęsknych ich dum,  
że z smętnych ich pieśni  
ostał jeno wichrów szum,  
wodny szum  
i że ten się prześni — —

Pomylił się tłum swą mocą omamion — —

Z tonącej fregaty  
ruszyła w gwiazdne światy  
żelazna rota  
z skrzydłami u ramion — —  
a nie były te skrzydła w srebro skrzepniętemi  
miotami dwu siklawic — ani orlemi  
skrzydłami ze zbroic husarzy — —  
Z najhartowniejszej skrzydła były stali:  
w radości życia i z bólu tęsknoty — —

Ruszyła rota na podniebne loty  
w słonecznej żarzy — —

My nie możemy już wracać do ziemi  
ku tym wrzawnym tłumom, ku wybrzeżom,  
my szlakami lecimy słonecznemi —  
zórz tęsknotą piersi nam się szerzą — —  
Nam za małe są ziemi przestrzenie:  
Serc tęsknota ku gwiazdom nas żenie —  
My musimy lądować na słońcu!

Lecimy: Jedna ze słonecznych rot  
w pochręście skrzydeł, w świście ostrych piór — —  
Na daleki, nieścigły ruszyliśmy lot  
wyżej chmur —

przez zaświatów omartwicę  
wielkich tęsknot my dziedzice  
lecim posiąść tajemnicę  
źródła życia: słońce — —

Ale to tylko, tylko orłów droga  
w owieję gwiazd kierować lot śmigły,  
tam, kędy one w migotach zastygły,  
rzucone w pustkę i ciższę przez Boga — --

Droga ta będzie przeklętą  
nędnym, kukułczym pisklętom,  
bo im promienie słoneczną żarzą  
żrenice do cna porażą  
i ślepe w bezdeń potrąca  
w wszechświatów otchłan milcząca — —

My lecim żelazną rotą,  
tnąc stalowymi skrzydłami  
niebiosów dal bezbrzegą — —  
I życie nasze jest tą drogą złotą,  
lotem do słońca, co zawsze przed nami  
uchodzić będzie w bezmiarów otchłanie,  
jak niedościgła myśl Tajemniczego — ---

Lecim i wierzym, że lot nasz dosięże  
słońca i że rota stanie  
na tej płomiennej bryle  
na jedną chwilę: ostatnią chwilę,  
bo my z żelaza są męże!

Lecim i wierzym! — Przez gromy i klęski  
złotego ładu dobijem  
i stamtąd w tłum ten, co u brzegów wyje  
rzucimy okrzyk bratni i — zwycięski!

## TY SOBIE Z TEGO NIE RÓB NIC

Ty sobie z tego nie rób nic,  
że mi dziś smętek wieje z lic — —

Przychodzą czasem takie dnie,  
że coś się w piersi człeka rwie,  
że coś tam w głębi boli — —  
że dusza, by ten smutny Bóg  
gdzieś po rozstajach staje dróg  
w cierpienia aureoli — —

Wtedy mimo przechodzą szyderce  
i w otwarte twe serce  
plwają żółcią — a jedynie za to,  
żeś je do dna otworzył przed niemi — —  
przeto płacą dary królewskimi — —  
przeto darzą serdeczną zapłatą — —

Ty sobie z tego nie rób nic, —  
że mnie dziś smętek wieje z lic — —

Przychodzą czasem takie dnie,  
że coś się w piersi człeka rwie,  
że coś tam w głębi boli — —  
Ot — zwykły ludzkich rzeczy bieg:  
dwoma drogami chadza człek  
i doli i niedoli — —

Ty sobie z tego nie rób nic,  
że mi dziś smętek wieje z lic —

## FALA

Rozstawiłem swe stopy szeroko  
 wparłem mocno w żwir ostry i piach —  
 aż się zboczył mą własną posoką — —  
 I choć oczy stanęły we łzach  
 odsłoniłem swe piersi na fale,  
 co szła na mnie przez morze burzliwe,  
 co szła na mnie poszumnie, wspaniale,  
 niosąc wichrem roztarganą grzywę — —

Przeciw fali się mocno rozparłem,  
 w jakimś chamskim okropnym uporze — —  
 Choć się zdało, że byłem-ci karłem,  
 że mi na pierś waliło rozhukane morze,  
 przecieżem się nie cofnął ni piędzi — —

A szła na mnie wielka fala,  
 co druzgocze i obala,  
 co z gromową siłą pędzi,  
 co w powietrznej trąbie gna,  
 wydzwignięta gdzieś od dna  
 rozoranej mórz topieli — —  
 Nieśli-ci ją burz anieli  
 w błyskawicach skrzydeł swych,  
 nieśli-ci ją w gromów złocie,  
 w głuchym szumie i warkocie  
 rozbestwionych wichrów złych — —

W pierś gruchnęła mocą całą — —  
 Przewaliła się nade mną w ryku srebrnych grzyw —  
 Serce się rozchybotąło,  
 by na trwogę dzwon — —

Przewaliła się nade mną — iostałem żyw — —



Przeleciała w huraganie —  
przeleciała w białej pianie  
do odległych stron,  
do dalekich gdzieś wybrzeży  
na bezkresach wód — —

Ostałem-ci sam  
przeciw falom, przeciw wichrom pochylony wprzód,  
jenom stopy stawiał szerzej  
z uporem, jak cham,  
który przyparł się do pługą,  
by nim skiby drzeć ze skał — —

Choćby przyszła fala druga  
ogromna jak świat  
nie będę się więcej bał,  
bom-ci życia tajemnicę przenajświętszą skradł — —  
Bóle ci ją wykrzesaly  
iskrę po iskiecie  
bijąc, jakby w granit skały,  
w której zimnym, głaźnem łonie  
prometejska iskra płonie —  
w marne, człeczce serce — —

Rozstawiłem swe stopy szeroko,  
wparłem mocno w żwir ostry i piach — —

## NI STĄD, NI ZOWĄD — —

Ni stąd, ni zowąd przychodzi na człeka  
 chwila ogromnej — przeogromnej ciszy,  
 podobna chwili, kiedy letnia spieka  
 obłądną wonią rozkwitłych lip dyszy,  
 a w cieniu sadów gra sennie pasieka,  
 jak szmer pacierzy niesionych zdaleka,  
 szeptanych społem przez jakiś chór mniszy — —

Chwila ogromnej — przeogromnej ciszy — —

I wtedy serce człowiecze nabrzmiewa  
 jakimś ukojem, tkliwością bez granic:  
 szedłbyś całować kamienie i drzewa  
 i wszystkich ludzi bez wyjątku — za nic — —

Wszystkich jednak brałbyś w swe ramiona —  
 wszystkich do stołu zapraszałbyś w gości,  
 królów, nędzarzy do jednego grona,  
 tych bez pogardy — tamtych bez zazdrości —

I niema w tobie ani cienia pychy —  
 nic z nienawiści, łakomstwa, ni gniewu — —  
 bratem ci każdy przyziemny stwór lichy  
 i błogosławisz przydrożnemu drzewu —

I wtedy pojdziesz, w tej ciszy ogromnej,  
 sercem po brzegi miłością wezbranem  
 nauczyciela, co biedny, bezdomny,  
 z apostołami chodził nad Jordanem — —

## SKARB

Kiedy przechodzę koło tych ludzi  
 obcych, idących ulicą,  
 jakaś się litość w piersi mej budzi — —

Podnoszę oczy, ku ich smutnym licom,  
 przeżartym troską i nędzą,  
 licom wytartym, jak banknot zużyty — —  
 Ci ludzie zawsze spieszą się i pędzą  
 za własną troską — —

Im nieba błękity  
 i słońce promienie zagasły na wieki — —

Zawsze jednacy:  
 wśród słot jesiennych, czy wśród lata spieki  
 o jednej porze spieszą się do pracy,  
 o jednej porze wracają znużeni  
 do nędznej stawy domowego kąta — —  
 Nigdy im w lica uśmiech się nie wpląta — —  
 Zawsze jednacy — — Nikt z nich się nie zmieni,  
 bo duszę jeno samą troską sycą — —

Kiedy przechodzę koło tych ludzi  
 obcych, idących ulicą,  
 jakaś się litość w piersi mej budzi  
 i nie dlatego, że losy lute  
 na barki trudu im zwały brzemie,  
 bom sam człowiekiem jest pracy,  
 jeno dlatego, że jak ci żebracy  
 nieśmiałym wzrokiem pozierają w ziemię —  
 że noszą w piersi swej serca zatrute — —

A ja sobie idę światem,  
 jak byłbym magnatem

z rozmachem, szeroko —  
mimo tych ludzi, co śpiesząc się włoką  
we własnej piersi swe serca zatrute —

Idę i nucę jakąś jasną nutę,  
nutę słoneczną, wesołą  
i pewnie dziwię tych ludzi wokoło,  
którzy już słońca nie znają — —

Idę, jak magnat tą żebraczą zgrają,  
bo w mojej piersi skarb bez ceny niosę  
skarby, który tamci na zawsze stracili —  
skarby, które znają nawet dzieci bose,  
dzieci wieśniacze, co przez kwietne grzędy  
biegną za białą gromadką motyli —  
skarby, który kwitnie, jak ów kwiat legendy  
nocy czerwcowej — kwiat paproci złoty  
nawet w serduszku biedactwa sieroty — —

Idę ci sobie z rozmachem przez świat,  
bo w piersi niosę wiarę —  
Idę przez tłumy smutne i szare,  
którym ktoś z piersi tę wiarę skradł — —  
idę i serce otwieram przed nimi,  
do dna otwieram, bo na to mnie stać,  
by niem obdzielić ludzi tłum olbrzymi —  
byle ci chcieli sięgnąć i brać — —

## CO MNIE OBCHODZI

Co mnie obchodzi ostatni cel świata  
wobec znikomo krótkich moich dni —  
ten gwiazdny chaos, co się w górze splata  
w baldach złocisty — co przez wieczność lśni  
nad źrenicami pokoleń tysięcy,  
by je przerażać zagadką milczenia —  
by strach siać w serca obłądny, jagnięcy,  
strach wobec tego, które się nie zmienia? — —

Co mnie obchodzi ten zawrotny świat,  
mierzony świetlnych milionem lat? —

Wieczności falą na brzeg wyrzucony,  
kiedy się pleni bujnie cierń i chwast,  
patrzac z podziwem w tych słońc milijony  
stwierdzam:  
żem tu raz pierwszy pod stropem tych gwiazd —

dalej, że jestem ja ośrodkiem świata,  
tak pojętego li tylko przeze mnie,  
że ze mnie wstała złotych gwiazd poświata  
i razem ze mną zapadnie się w ciemnię — —

Słońca-m wyważył z ich starych ekliptyk  
i nazaczyłem im przez siebie drogi — —  
W piersi mej bogom trzem stawilem tryptyk —  
Poznanie, Wola i Czyn — to me bogi — —

Nie przetom jednak, by snów mych pieśń złotą  
nad moim grobem ktoś uwiecznił w gipsie — —

Życie me pchnąłem ku wielkim tęsknotom  
po niezmierzonej, zawrotnej elipsie,  
koło nikomu nieznanego słońca — —

W tem jestem twórcą, jak ów budowniczy,  
co światom drogi wyznaczył w błękicie —  
nieodgadnięty, jak on tajemniczy,  
bo w twórczym trudzie stwarzam własne życie — —

## GŁOS BOŻY

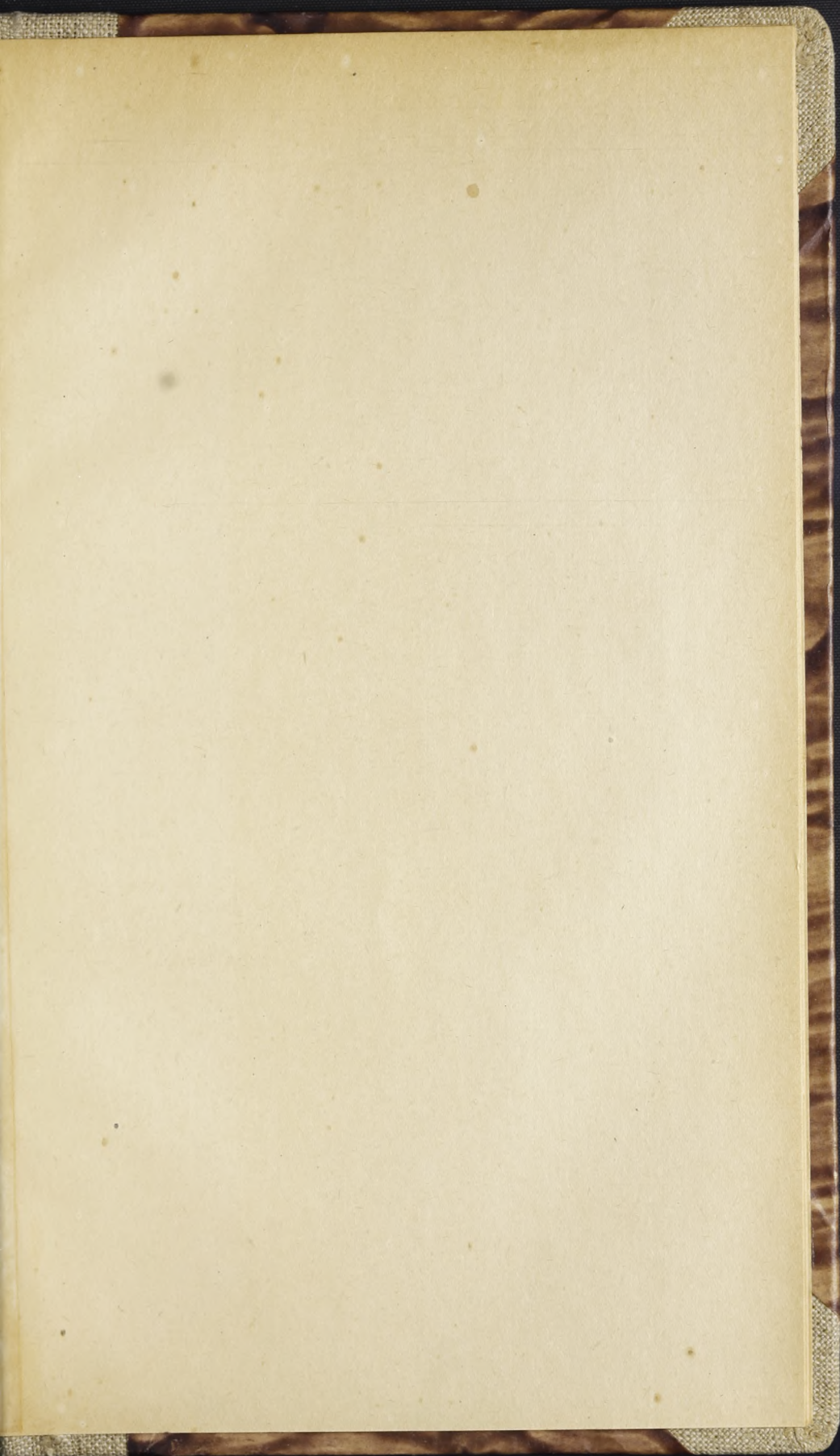
Czasem się tak w mrok otulę,  
 jak króle  
 purpurą,  
 jeno mi te oczy płoną  
 ponuro — —

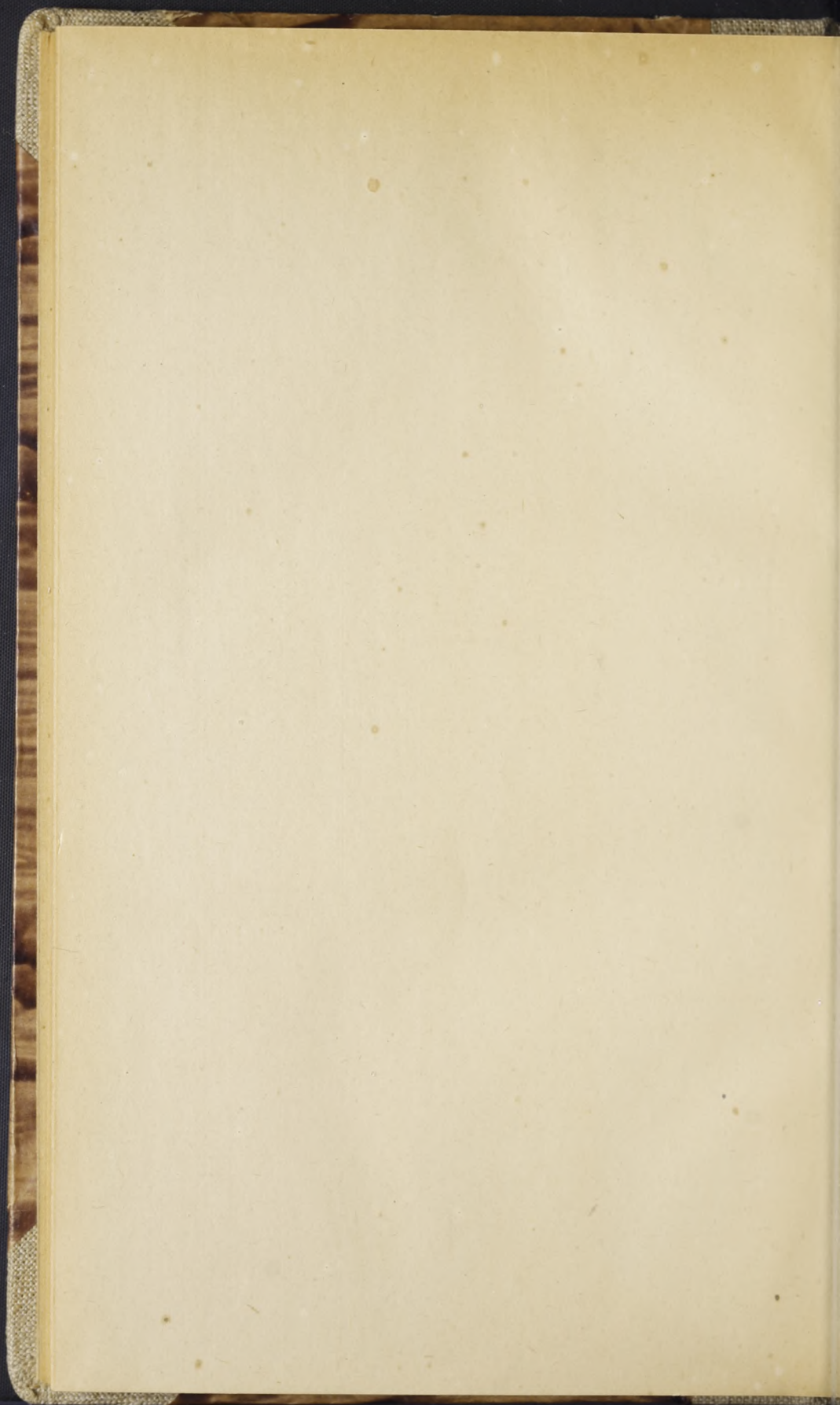
Wtedy duszę moją kryję  
 przed ludźmi zasłoną,  
 że niczyje  
 jej oko  
 nie sięga — —  
 Czoło wznoszę wysoko,  
 a moc, twórcza potęga,  
 niby chmura gromowa u czoła  
 się sroży —  
 Wtedy od gwiazd mnie woła  
 w huraganie wichrowym

głos boży — —

Odpowiadam :

myśl-piorun ślę w górę za gońca —  
 mówię z Bogiem milczeniem, jak bóg  
 z mego słońca — —







## SPIS RZECZY:

|                                  | Strona |
|----------------------------------|--------|
| Wierzę . . . . .                 | 5      |
| I.                               |        |
| Żołnierzowi polskiemu . . . . .  | 9      |
| Wrony . . . . .                  | 10     |
| W górach . . . . .               | 12     |
| Na pozycję . . . . .             | 13     |
| W drodze na leże . . . . .       | 16     |
| Wzlot . . . . .                  | 19     |
| Bój lotników . . . . .           | 21     |
| Nad wodą . . . . .               | 23     |
| Wytchnienie . . . . .            | 24     |
| Z obczyzny . . . . .             | 25     |
| W noc wigilijną . . . . .        | 26     |
| Wspomnienie . . . . .            | 28     |
| Inwalida . . . . .               | 29     |
| U granic . . . . .               | 32     |
| Złote plony . . . . .            | 33     |
| Zmartwychwstałej . . . . .       | 34     |
| Wojenko . . . . .                | 36     |
| II.                              |        |
| Pastel . . . . .                 | 41     |
| Colombino . . . . .              | 42     |
| Czy myślisz . . . . .            | 43     |
| Uśmiech . . . . .                | 44     |
| Niby jakaś księżniczka . . . . . | 45     |

|                                      | Strona |
|--------------------------------------|--------|
| Śnieg . . . . .                      | 46     |
| Nas-troje . . . . .                  | 47     |
| Nie dziw . . . . .                   | 48     |
| Błogosławione . . . . .              | 49     |
| Chciałbym iść z tobą . . . . .       | 50     |
| Ty nie wiesz sama . . . . .          | 51     |
| Pojedziesz sobie w dale . . . . .    | 32     |
| Jej łań I. . . . .                   | 53     |
| II. . . . .                          | 54     |
| III. . . . .                         | 55     |
| IV. . . . .                          | 56     |
| Wyzwanie . . . . .                   | 57     |
| Ilekroć . . . . .                    | 58     |
| Mądrość . . . . .                    | 59     |
| Tajemnica . . . . .                  | 60     |
| Chciałbym darować . . . . .          | 62     |
| Przesączasz się w mą duszę . . . . . | 63     |
| Czuję twą myśl . . . . .             | 64     |
| Coś się stało . . . . .              | 65     |
| Papierowe wycinanki . . . . .        | 66     |
| Lubię . . . . .                      | 68     |
| Królewno Ri . . . . .                | 69     |
| Nie wiem dlaczego . . . . .          | 70     |
| Ręce . . . . .                       | 71     |
| Wolę . . . . .                       | 72     |

### III. Kraków

|  |    |
|--|----|
| W arkadowym dziedzińcu . . . . .         | 75 |
| Pod basztą Senatorską . . . . .          | 76 |
| Zygmunt August . . . . .                 | 77 |
| Na Skałce . . . . .                      | 78 |
| U srebrnej truny Stanisławowej . . . . . | 79 |
| Bóg-Tworzyciel . . . . .                 | 80 |

### IV. Z Podhala

|                                    |    |
|------------------------------------|----|
| Giewont . . . . .                  | 83 |
| Tatry w pokrławie słońca . . . . . | 84 |
| Tatry w mgłach wieczoru . . . . .  | 85 |

|                              | Strona |
|------------------------------|--------|
| Nad Morskim Okiem I. . . . . | 86     |
| II. . . . .                  | 87     |
| Sanna . . . . .              | 88     |
| Wiatr halny . . . . .        | 90     |

## V.

|                                    |     |
|------------------------------------|-----|
| Witaj o Wiosno . . . . .           | 97  |
| Poszept zbóż . . . . .             | 98  |
| Słońce . . . . .                   | 99  |
| Kapłan . . . . .                   | 100 |
| Dzieci . . . . .                   | 101 |
| Więć w śniegach . . . . .          | 102 |
| Krew . . . . .                     | 103 |
| Pij, ale do dna . . . . .          | 104 |
| Przychodzę czasem . . . . .        | 105 |
| Muzyka: (Rapsod burzowy) . . . . . | 106 |
| (Kołysanka) . . . . .              | 108 |
| Łzy milczenia . . . . .            | 110 |
| Deszcz . . . . .                   | 112 |
| Nad rumowiskiem wieków . . . . .   | 114 |
| Raport . . . . .                   | 116 |
| W ruinach . . . . .                | 117 |
| Polonez . . . . .                  | 119 |

## VI.

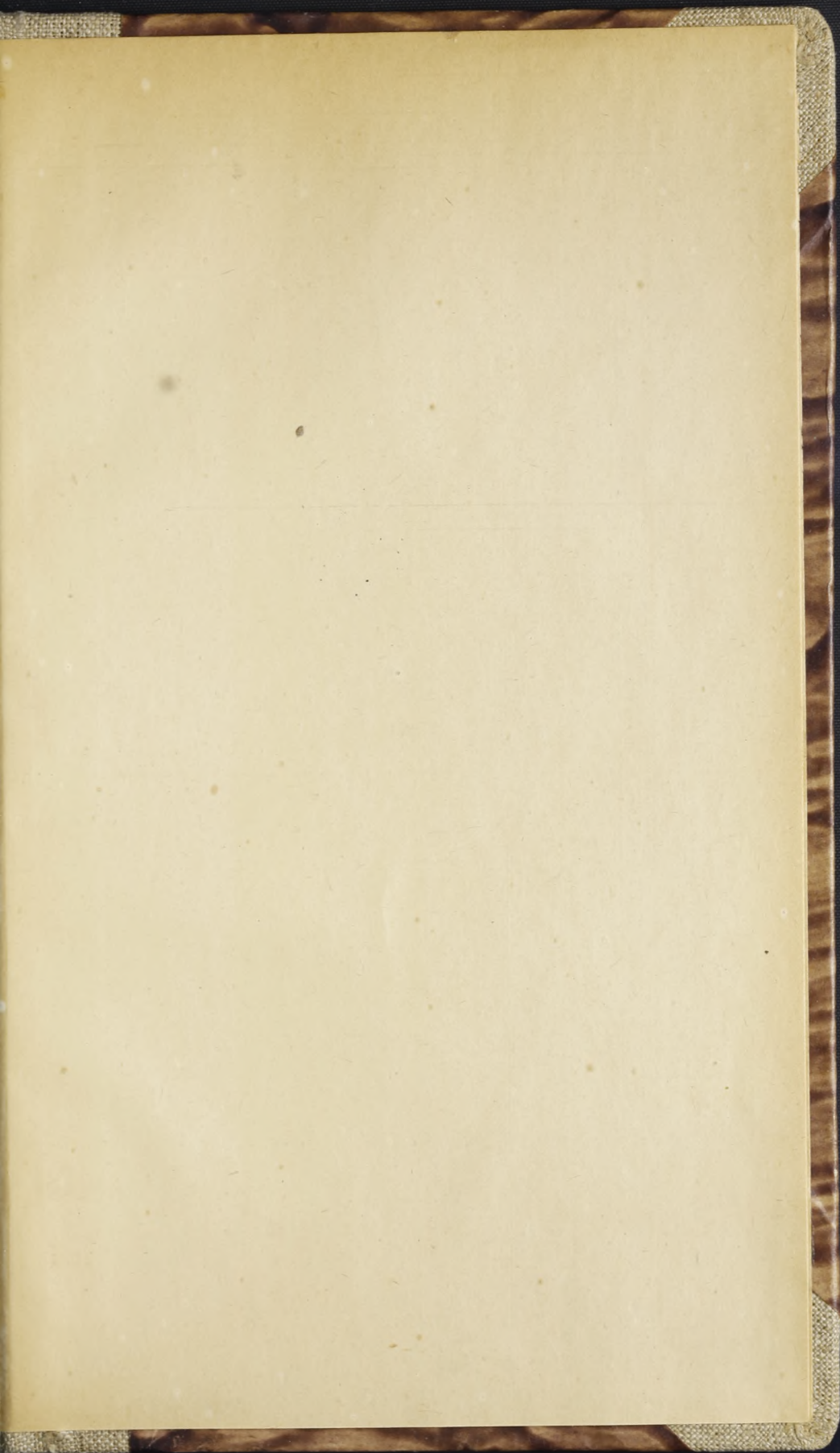
|                                  |     |
|----------------------------------|-----|
| Nocą w pociągu . . . . .         | 123 |
| Wczesne słońce . . . . .         | 125 |
| W alei . . . . .                 | 126 |
| Wieczór jesienny . . . . .       | 128 |
| Aster . . . . .                  | 130 |
| Auto gnało ulicą . . . . .       | 132 |
| W tłumie . . . . .               | 134 |
| Święto, wielkie święto . . . . . | 137 |

## VII.

|                              |     |
|------------------------------|-----|
| U zamkniętych bram . . . . . | 141 |
| Do słońca . . . . .          | 142 |

|                                       | Strona |
|---------------------------------------|--------|
| Ty sobie z tego nie rób nic . . . . . | 145    |
| Fala . . . . .                        | 146    |
| Ni stąd ni zowąd . . . . .            | 148    |
| Skarb . . . . .                       | 149    |
| Co mnie obchodzi . . . . .            | 151    |
| Głos boży . . . . .                   | 152    |

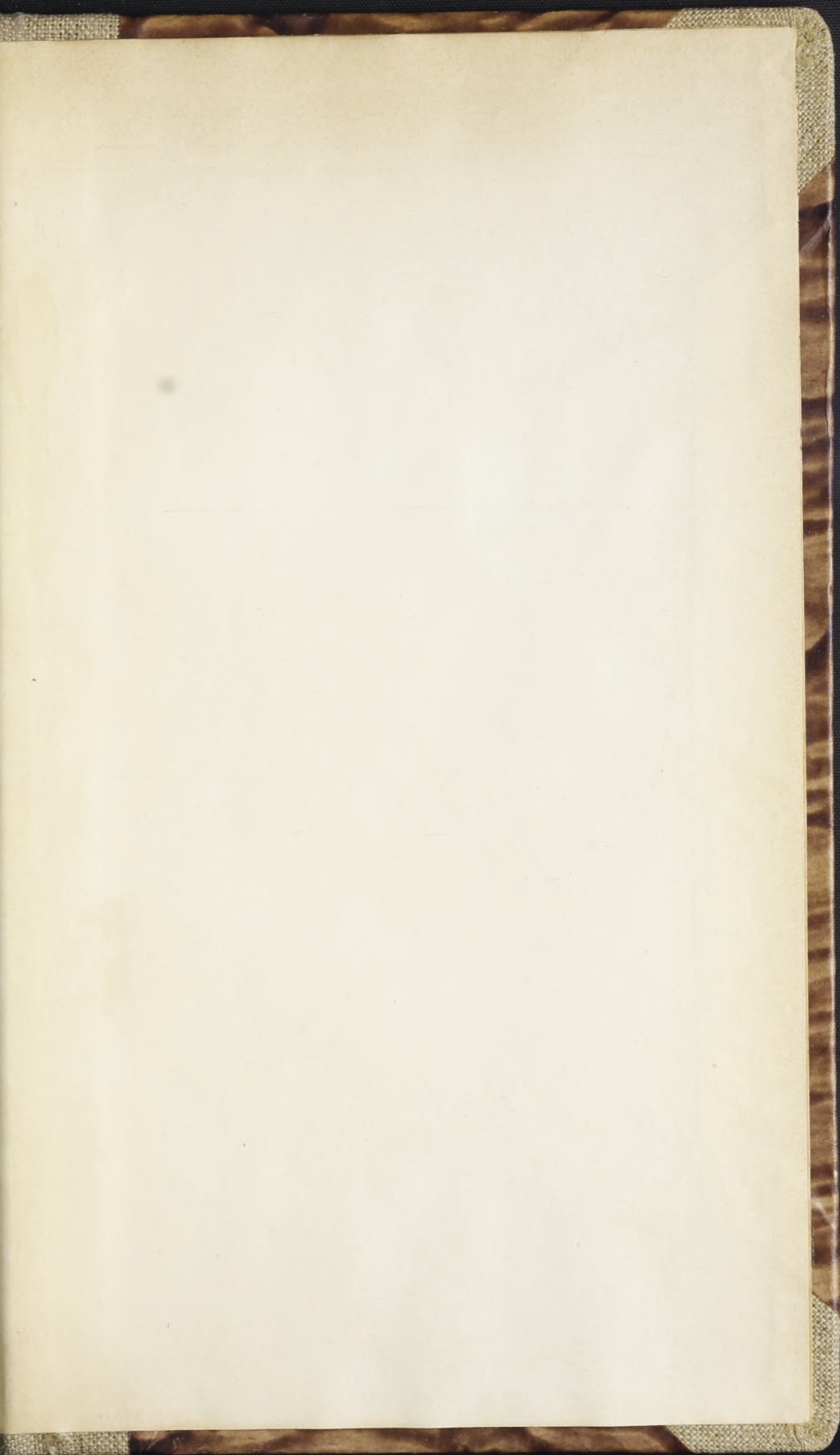


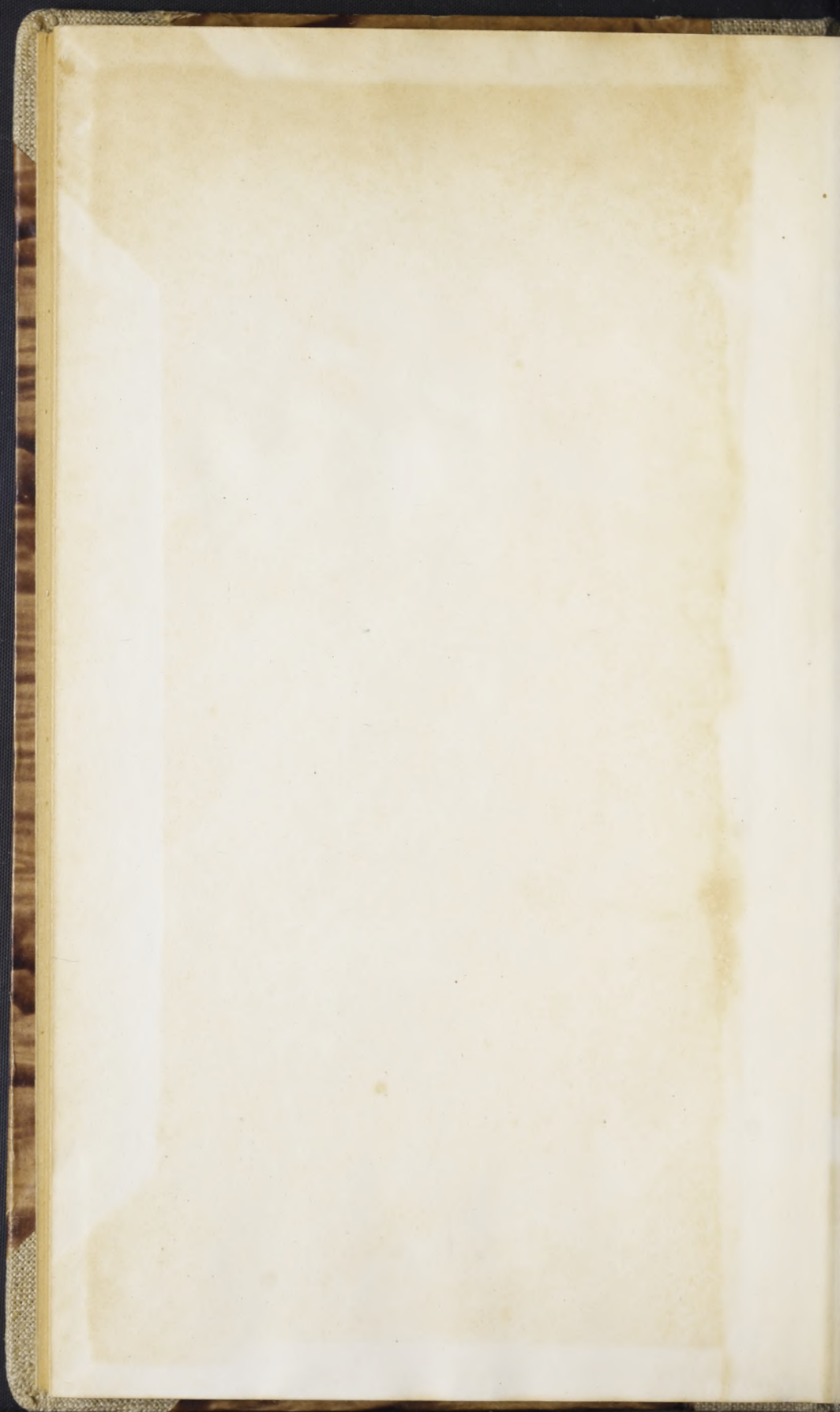


Тош

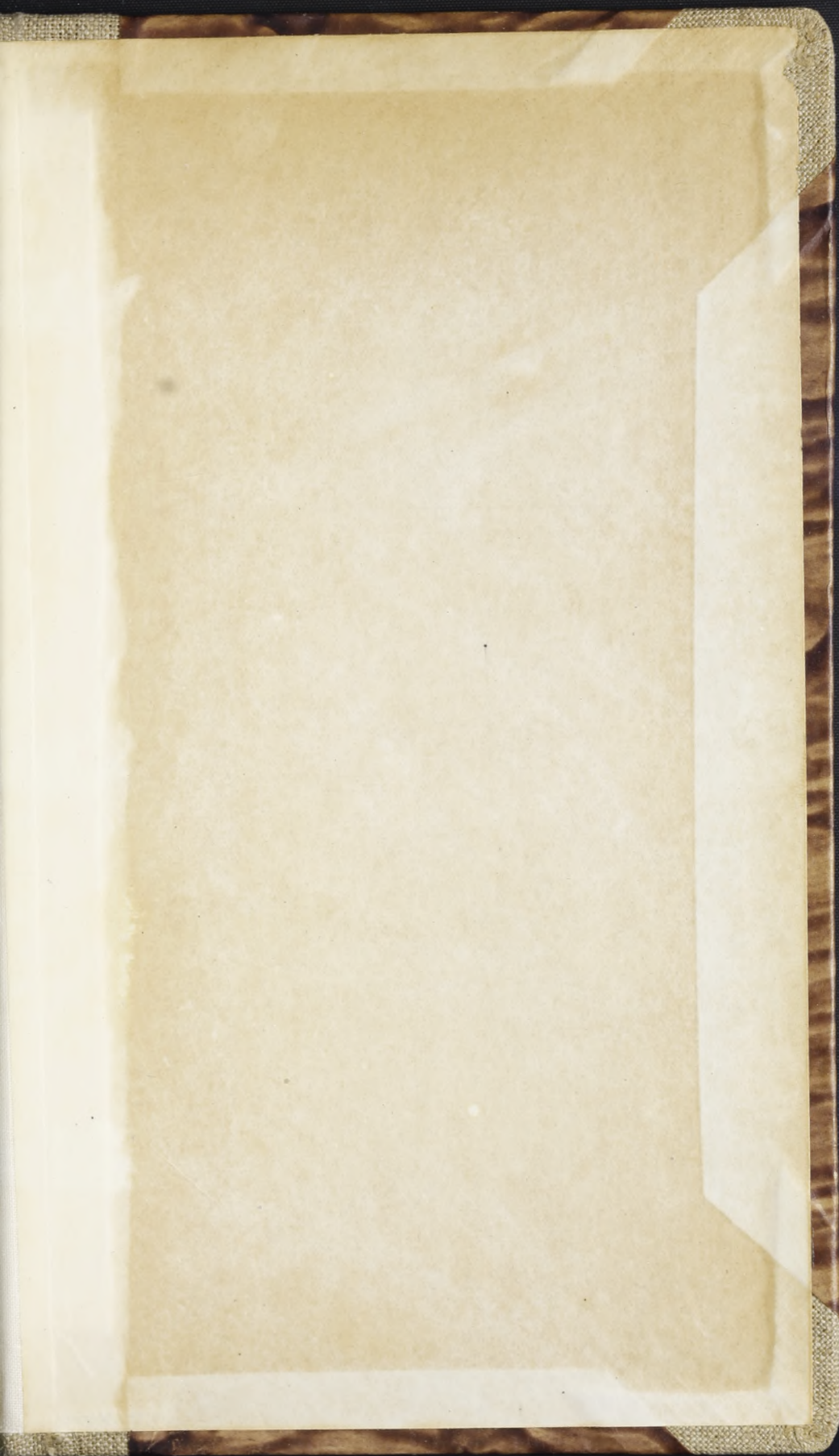
3-ка 2. Строничва Анд.

25.II-50.











513049

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



3000100777316